ROK I. Nr. 31. 10.000 zł. nagrody 25 sierpnia 1929 r.

7 DNI

CENA 50 GR
Rejentalnie stwierdzony nakład: 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



Nad polskiem morzem. (Fot. Jan Ryś)

Walka o lepsze jutro

Zastanawiając się nad czynnikami, stanowiącemi o potędze mocarstwowej danego państwa — opierającej się na sile duchowej i zasobach materjalnych jego społeczeństwa, dojść musimy do przekonania, że wiele nam pozostaje jeszcze do zrobienia. Jesteśmy na dobrej drodze. Powszechna Wystawa Krajowa, imponujące zestawienie naszych poczynań, jest tego świadectwem. Stwierdzają to liczni obcy goście, którzy w tym roku, po zwiedzeniu P. W. K. i zapoznaniu się z naszym krajem, nie szczędzą nam słów szczerego podziwu.

A jednak... Wyznajmy to sobie otwarcie — to nie wszystko. To dopiero początek...

Jeden z jaskrawych dowodów, iż młodsze nawet pokolenie nie docenia należycie sytuacji i potrzeb kraju, przynoszą nam cyfry o frekfencji na wyższych uczelniach. Weźmy rok 1924/25: na 33.838 studentów — zaledwie 8.785 uczęszczało na fakultety, przygotowujące do pracy naukowo technicznej (włączając 1961 słuchaczów szkół i wydziałów rolniczych) W tym samym roku 7.906 studentów figuruje na prawie i na filozofji!

Brak nam techników inżynierów, chemików, górników — za dużo filozofów, z których wielu, niestety, (ostrzeżenie to podkreślamy z naciskiem) pomnoży szeregi głodującej inteligencji na urzędach, nic nie mających wspólnego z ich wykształceniem.



W dniu 16 b. m. przybyła do stolicy na konferencję prasową polsko - rumuńską delegacja dziennikarzy rumuńskich z b. senatorem, Henrykiem Streitmanem, redaktorem pisma „Observatorul" na czele. W dniu 17 b. m. odbyły się w gmachu M. S. Z. wspólne obrady, po ukończeniu których mili goście wyjechali do Poznania i Gdyni, w drodze powrotnej Rumuni zwiedzą nasze Kresy

Inaczej się dzieje w innych krajach. Za przykład należy tu wziąć Niemcy, chociażby dlatego, iż posiadamy podobny system szkolnictwa. Stwierdzamy więc z góry, iż niema narodu na świecie, któryby zdołał tak znakomicie zaprawić pokolenia do zainteresowania się nauką (choćby pozornie zdawać się to mogło konwenansem lub pustym snobizmem „doktorstwa"). Przewaga ta w organizacji nauki i zmobilizowaniu dla niej całego społeczeństwa pozwoliła Niemcom trzymać cały świat w szachu podczas wielkiej wojny i znakomicie radzić sobie mimo kompletnego odcięcia od zewnętrzego dowozu — dzisiaj zaś, mimo olbrzymich strat, poniesionych na wojnie, opanować się i prześcignąć w rozwoju inne państwa, budząc w nich niepokój o najbliższą przyszłość. Niemcy, jak mówił na parę lat przed wybuchem wojny światowej nieodżałowanej pamięci uczony nasz, Jan Purwin „unaukowili przemysł i uprzemysłowili naukę", stwarzając najpotężniejszą i doskonale uposażoną armję pracowników naukowych.

W dziedzinie chemji, naprzykład, stanowiącej podstawę niezmiernie ważnego przemysłu chemicznego, Niemcy doskonale zdali egzamin. Badania laboratoryjne dokonywane w pracowniach naukowych przynoszą coraz to nowe zdobycze. W zakładach przemysłowych zastępy uczonych badają sposoby coraz to nowych ulepszeń produkcji. Wspomnimy chociażby o badaniach, nad królem barwników — indyga, nad któremi Niemcy strawili 25 lat wyczerpujących studjów. Rezultat, mimo znacznych kosztów nakładowych, przyniósł całkowite pokrycie; koszty tych badań wyniosły 18 milj. w jednym zaś roku 1902 osiągnięto produkcję wartości 32 milj.

Wysoki poziom nauki niemieckiej i szerokie jej zastosowanie dały się zauważyć zwłaszcza podczas wojny, kiedy zdołano stworzyć cały szereg cennych namiastek (zastąpienie np. olejów mineralnych przez produkty suchej destylacji węgla).

Zwiedzenie Powszechnej Wystawy Krajowej przysparza nam wiele materjału do bliższego rozważenia. Mówiąc o dziedzinie przemysłu chemicznego — przekonujemy się, iż posiadamy tak poważne podstawy dla jego rozwoju (obfitość zasadniczych surowców), iż grzechem nie do powetowania byłoby zaniedbanie w tym kierunku.

Inicjatywa dzielnych ludzi, którym przewodzi znakomity uczony, będący jednocześnie najwyższym dostojnikiem Państwa, Prezydent Ignacy Mościcki — powołała do życia w ciągu ostatnich lat kilka poważnych placówek naukowych.

Nie mniej jednak należy stwierdzić wciąż rosnące potrzeby nasze, którym sprostać nie może samo społeczeństwo, poświęcając swe siły praktycznej pracy twórczej i udzielając swego poparcia inicjatywie zakładania specjalnych instytutów badawczych, obsłużonych przez zastępy materjalnie zabezpieczonych pracowników naukowych.

Będzie to przeciwne, być może starej tezie, która nakazywała nam zwracać uwagę przedewszystkiem na rolnictwo. Będzie to jednak słuszniejsze — czego przykład nam dają Stany Zjednoczone, również jak my bogate w tereny rolnicze — stwierdzono bowiem, iż narody przemysłowe miały i mieć będą zawsze przewagę nad narodami rolniczemi, a to nie tylko z powodu większej ilości środków materjalnych i moralnych do rozwoju, ale głównie z powodu poczucia faktycznej niezależności...

Walka o lepsze jutro wre w całej pełni. Wiele powstaje coraz nowych zagadnień, wiele trosk, które stwarza zajadła konkurencja, wyścig o upraszczanie sposobów produkcji i obtanianie jej kosztów. Ten tylko z narodów zwycięży, co zdoła zorganizować zastępy pjonierów, odpowiednie pracownie doświadczalne, pomoc finansową wynalazcom — co wpoi ogólne przeświadczenie, iż państwu potrzebne są przedewszystkiem siły twórcze.



Dr. Gerson odkrył niezawodną metodę leczenia tuberkulozy przy pomocy specjalnej djety. Próby przeprowadzone w Kassel dały doskonałe i wielce pocieszające wyniki



P. Marja Wicherkiewiczowa, której artykuł p. t. „W huraganie stepowym" ukazał się w „7 Dniach" jest na ukończeniu pierwszego swego utworu powieściowego



Amerykanin John Willis sporstmen i miłośnik kolarstwa, który dorobił się fortuny miljonowej na handlu rowerami oraz autami Overland wstąpił do dyplomacji.



Niedawno złożył listy uwierzytelniające Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej nowomianowany poseł Królestwa Rumunji Cretzeanu



W ubiegłym tygodniu zawarł związek małżeński jeden z nielicznych już „samodzierzców" 76-letni książę Franciszek Lichtensztein z p. Elsą Erös (!)



Augusto B. Leguia, został wybrany po raz czwarty prezydentem Rzeczpospolitej Peruwiańskiej. Urząd swój pełni od 14 lat



Zatarg chińsko - sowiecki wszedł w nową fazę. Czerwone wojska wkroczyły wgłąb terytorjum Mandżurji, której bronią między innymi ochotnicy z licznej w Chinach emigracji rosyjskiej



Dzień Św. Szczepana jest obchodzony w Budapeszcie niezwykle uroczyście. Tysiączne delegacje ściągają z prowincji do stolicy i defilują w barwnych strojach przed regentem Horthy'm i rządem



Korespondenci pism z całego świata, przybyli na konferencję haską, lada chwila wyczekując nowego wypadu ze strony Snowdena. Przyjemniej siedzieć na studni, niż w podnieconej atmosferze narad...



Sympatyczna pływaczka japońska, Hideko Maychata udaje się w tych dniach do Londynu na Międzynarodowe Zawody. Ma podobno szanse... (Fot. Photoplat)



Pływacki trójmecz państw słowiańskich, który się odbył w ubiegłą niedzielę w Warszawie, był sensacją dnia. — Na ilustracji: Getrener, Pacovsky (Czechosłow.) i Bocheński (Polska). (Fot. Walter)



P. Stanisław Wróbel z Chicago, prezes polskiego automobilklubu w Stanach Zjednoczonych odbył z 6-ma członkami klubu wycieczkę na maszynach po Polsce. Na ilustracji widzimy naszego rodaka obok pięknego Packarda ze znakiem klubowym



14 b. m. na odcinku kolejowym Łódź — Karolew, wskutek złego nastawienia zwrotnicy rozbiły się dwa pociągi. Tragiczny wypadek, jakiego dawno nie notowały kroniki kolejowe, spowodował śmierć 8 pasażerów i ciężkie poranienie 14 osób

Mac Donald w pantoflach

Zebrało się dostojne grono mężów w Hadze, zasiadło (a było ich trzynastu) dokoła stołu, na którym rozłożono mapę świata i... rachunki. Zebrał się najwyższy aeropag by czynić pokój na świecie i wykłócić się nad „uzgodnieniem" wzajemnych pretensyj materjalnych. Darmo nic! Chwila ciszy, jak zwyczajnie, przed burzą... Grzmot rozległ się istotnie, grzmot tak bliski, że rzekłbyś piorun trafił w dostojną trzynastkę. Oto Snowden trzasnął pięścią w stół, wyciągnął język zdumionemu lokarneńczykowi Briandowi, grzecznie się ukłonił gołębiowi pokoju—Stressemanowi i pokazał sążnisty rachunek za to popisowe wystąpienie. Obecni spojrzeli na siebie, ze zdumieniem, choć niektórzy, uprzedzeni chociażby przez wszechwiedzącego maga informacji politycznej, Sauerweina, wiedzieli, iż dostojni wyspiarze szykują jakąś niespodziankę. Rumor zrobił się niezwykły.

— Ależ! — dziwił się dobry lokarneńczyk Briand, ciągnąc kolegów na stronę, by skaptować sobie jaknajwięcej popleczników.



Przyszłe stosunki angielsko - sowieckie? Trudniejsze to zadanie, zwłaszcza wobec niefortunnego eksperymentu z Zinowiewem

A poczciwiec Snowden pozostawiając Stressemana w czułem tête a tête z wytwornym kolegą ze spraw zagranicznych, Hendersonem, szyfrował depeszę na ustroniu do szefa rządu o nowe instrukcje.

Polityka, to brudna gra, panie premjerze Wielkiej Brytanji, gdziekolwiek byłaby fabrykowana, na Downing - Street, czy w cichej wiosce rodzinnej, w Lossiemouth, w której szukasz wytchnienia i natchnienia do wystąpień i kombinujesz z ekscelencją Snowdenem pacyfistyczne kawały. Polityka, to brudna gra, wybacz panie premjerze, że twoje słowa powtarzamy i wybacz, że operujemy przypomnieniami, choć wiemy, że to bardzo nieładnie w stosunku do dostojnej twej osoby, zwłaszcza po tym przykrym incydencie z artykułem, który ci przypomniano, kiedyś zasiadł na Downing-Street. Ale trudno—życie wszak swoje układasz według innej maksymy, którą lubisz powtarzać — iż „modne w czasie wojny hasło o samookreśleniu narodów, ustępuje dziś miejsca hasłu o samookreśleniu indywidualności ludzkich". Jesteś indywidualistą — nic sobie nie robisz z tego, co o tobie myślą i mówią, nawet w małej wiosce, dokąd lubisz uciekać z szumnego Londynu i etykietalnego Downing-Street, do małego domeczku, na którego ścianach pisano ci ongiś podczas wojny: „zdrajca!".



Premjer Mac Donald z synem, Malcolmem i córką Ishbel odczytują w Lossiemouth pierwsze wiadomości z Hagi

Polityka, zdaniem twojem, choć to brudna gra, a jednak ma to do siebie, że potrafi człowieka pogrążyć i tak samo wyciągnąć na najwyższe szczyty. Trzeba mieć na to hart, silną wolę, umieć wytrzymać.

Pamiętamy, jakby to było wczoraj... Lossiemouth... Cicha wioseczka szkocka śpi. Szumi jeno morze, rozbijając swe fale o skaliste wybrzeże. Ostatni nawet pijak (taki starszy wiekiem, bo wszyscy młodzi zasiedli w okopach, daleko, we Flandrji) powrócił markotny do domu. Bo jakże to? Lossiemouth, skromna wioseczka, co wydała na świat znakomitego publicystę i polityka, wstydzić się musi za swego obywatela, który naprzekór wszystkim chce czynić pokój, rozbijając publicznie szlachetny zapał narodu do bronienia idei sprawiedliwości.



Premjer Mac Donald jest zawołanym miłośnikiem gry w golfa, której poświęcał każdą wolną chwilę nawet wtedy, gdy w swoim czasie usunięto go z klubu za uprawianie niestosownego w czasie wojny pacyfizmu

„Zdrajca". Dziś jeszcze, po tylu latach, litery te, choć zmazane wielokrotnie tynkiem, przeświecają w dnie trwogi o pokój.

„Zdrajca"! Publicystę usunięto z golfowego Moray Club'u, którego był członkiem i wszyscy odeszli od niego ze wzgardą.

„Zdrajcę" — nie zdradziły jednak własne siły. Twardy i uparty Szkot szedł dalej swoją drogą. W Lossiemouth właśnie, gdzie ujrzał światło dzienne, gdzie pobierał pierwsze nauki i próbował na roli swych młodzieńczych sił, w Lossiemouth, gdzie wszyscy go znali, zawsze przebywał z największą przyjemnością, tak samo jak dziś, kiedy z pod dachu skromnego domku, rządzi całem Imperjum i znów stał się chlubą rodzinnej wioski. Często tu przyjeżdża, ile razy może, choćby na parę dni i mimo długiej, czternastogodzinnej podróży z Londynu.

Przestępujemy próg małego domku, który postawił w swoim czasie ubóstwianej przezeń matce. W sypialni premjera jest nader skromnie i ciasno. Nawet na umywalni (how shocking!) pełno teczek z aktami. Biurko, stojące na środku pokoju zawalone jest papierami. Łóżko, dwa krzesła, kilka fotografji na ścianach — oto całe umeblowanie komnaty. Jadalnia, mikroskopijny „parlour", ganeczek, z kilkoma trzcinowemi fotelami dopełniają całości tej rezydencji. Córka premjera, miss Ishbel, nie mniej energiczna od swego rodzica, mieszka w małej przybudówce, skąd rządzi, przygotowując się do roli gospodyni na Downing Street.

Premjer pracuje bez wytchnienia. Dwaj sekretarze pełnią przy nim ciężką służbę, przeklinając w duchu upodobanie szefa do szkockiej wioski rybackiej. Jedyną ich rozrywką — to gra w golfa, byle nie z pryncypałem, który będąc zamiłowanym entuzjastą tego sportu, pary z ust nie wypuszcza, wpatrzony w piłeczkę i dołki.

Czasem tylko odrywa się myślą od spraw publicznych. Bywa to wtedy, gdy zagadnie go któryś ze znudzonych sekretarzy o szczegół, dotyczący starodawnych lokalnych tradycyj i podań. Wówczas tylko premjerowi rozwiązuje się język. Opowiada. Z przyjemnością i z wielkiem znawstwem przedmiotu, jak przystało na Szkota.

Cicho płynie życie w Lossiemouth. Od czasu do czasu tylko wystrzeli stąd jak raca pacyfistyczny kawał pana premjera lub interesujące nas oświadczenie, jak to, które ostatnio wyczytałem w jednem z pism angielskich:

„Wpływ Ligi Narodów na politykę światową — twierdzi Mac Donald — zależy od głosu, który będzie udzielony mniejszym państwom. Jeśliby z czasem rozszerzono ich prawa, koncepcja Stanów Zjednoczonych Europy pod egidą Ligi stałaby się bliższą realizacji. Przy obecnym stanie rzeczy wielkie mocarstwa rozprawiają się z wszelkiemi zagadnieniami wyłącznie pod kątem widzenia własnego interesu. Przypomina mi to różnicę dzielącą poglądy starszych pokoleń względem młodszych, co bynajmniej nie rokuje szans na ustabilizowanie się konjunktur politycznych".

Wielce łaskawy nam Mac Donald nie darmo jest Szkotem i lubi wymyślać niewiarygodne kawały... *Er.*

Zatrute podręczniki

„Wszystkie szkoły w dziale wychowania moralnego powinny przeniknąć się duchem powszechnej zgody narodów".

Tak mówi art. 148 konstytucji niemieckiej. Zaś w *„Nord nud Süd"* pisał niedawno dr. Becker, niemiecki minister oświaty:

„Intellektualne zbliżenie francusko - niemieckie jest zadaniem wychowania narodowego".

Zobaczmy, jak powyższa piękna teorja wygląda na tle praktyki dnia codziennego. Oto kilka charakterystycznych ustępów, zaczerpniętych z niemieckich czytanek szkolnych i podręczników historji. Na jednej z pierwszych stronic książeczki „dla najmłodszych" znajdujemy taką perełkę:

„Czemu grzmią trąbki? To atakują huzarzy! Prusacy, tradevidera! Oto prusacy! Zawsze weseli! Krzyczą: hurra! hurra!"



Wojskowa organizacja niemiecka „Reichsbanner'ów" rozdaje dzieciom szkolnym chorągiewki o barwach monarchistycznych. (Wide World)

A oto ustęp z podręcznika geograficznego:

— Opowiedz mi o cesarstwie niemieckiem.

— Cesarstwo niemieckie — to najpiękniejsze zwycięstwo przesławnej wojny 1870 r. Same Prusy zajmują dwie trzecie cesarstwa, które od 1918 r. nosi miano republiki. Traktat wersalski jest dziełem rozbójników. Zrabowano nam wtedy miasta (nie zapominajmy o nich!):

Gdańsk: 190.000 mieszkańców.

Poznań: 175.000 mieszkańców.

Strasburg: 190.000 mieszkańców, (katedra w Strasburgu jest klejnotem architektury niemieckiej!), i t. d., i t. d.

Przechodzimy do dzieci starszych, do lat dwunastu. Oto znamienny urywek z podręcznika, wydanego przez hannowerską firmę Karl Mayer:

Tam, w okopach,
Skrył się wróg, tchórzem podszyty...
Huzia! na niego! Psem będzie.
Ten, co mu puści to płazem!
W nich choć błagają litości!
Wymordujmy ich, jak psów!
I módlmy się w tej godzinie pomsty:
Pierzchli już nasi wrogowie!

Wierszyki te są polecone do użytku w szkołach specjalnym okólnikiem niemieckiego ministerstwa oświaty... A oto „patrjotyczne recytacje" dla klas wyższych, ułożone przez dr. Webera i dr. A. Schmidta, wydane nakładem Beltza:

OSTATNI BÓJ.

Ludy romańskie! dobrze znacie pazur niemieckiego niedźwiedzia,

Od dnia, w którym młody półbóg Alaritz zwalił bramę kapitolu!

i wy także — Słowianie i Polacy — oddawna znacie potęgę niemiecką,

Od dnia, w którym zwycięski Henryk postawił stopę na waszych karkach...

Zanim zapanujecie w tych dziedzinach, które tyle razy widziały wasze ucieczki w popłochu —

Rozegra się tutaj OSTATNI BÓJ, który zapamiętacie na wieki!

A oto jak „niemiecki Iłowajskij", dr. Albert Stroehle, przedstawia swym uczniom Traktat Wersalski w książce, specjalnie zaleconej przez ministerstwo oświaty do „najszerszego rozpowszechnienia":

„Rabunek ziemi niemieckich (Gebietsraub), uświęcony przez Traktat Wersalski, jest godny stanąć obok wojen zdobywczych Ludwika XIV".

Podobnego zdania jest L. Kahnmeyer w swej „Realienbuch", oraz „historycy" niemieccy, Janicke i Martin Spahn.

W długim szeregu niemieckich podżegaczy do wojny odwetowej, zatruwających dusze młodzieży szkolnej jadem nienawiści, nie brak najsłynniejszych nazwisk Parnasu niemieckiego. Na naczelnem miejscu popularnych „czytanek szkolnych" prof. Alfreda Biese, przeznaczonych dla uczniów klas 6, 5 i 4-ej, znajdujemy następujący wiersz autora „Tkaczy", Hauptmanna:

Francuz stanął przed nami...
— Werda?!
— Niemcy! napastujemy twój honor!
— Nigdy! nigdy!
Już odgłos trąb budzi wsie uśpione!
Znamy, znamy tę broń waleczną:
To broń Niemców!
Nikt nie odbierze nam honoru!
Bo z nami jest Bóg,
Z nami cesarz i armja niemiecka —
Nigdy! nigdy!

Warto przypomnieć na tem miejscu, że Hauptmann był kandydatem na prezydenta Rzeszy i że za dzieła swe otrzymał nagrodę Nobla...

Ostatnio „Związek nauczycieli szkół niemieckich" wydał nowe czytanki dla dzieci szkół powszechnych. W wierszyku *„Falk von Stauff"* znajdujemy ustęp następujący:

Der Teufel ist's du, Welfessohn,
Der Teufel kommt euch holen,
Ihr gottverfluchten Polen!
(Patrz tam, wilcze szczenię: oto djabeł,
Djabeł ten idzie porwać was,
Wy przeklęci przez Boga Polacy!).

Przyznać trzeba, że znalazły się w Niemczech światlejsze duchy i umysły, które odważnie potępiły tę odwetową politykę podręcznikową. Niestety! jak dotychczas, głosy ich przebrzmiały bez echa. Napróżno Siegfried Kaweran w swej interesującej pracy p. t. *„Ku wiecznemu pokojowi"* przedstawił program nowego szkolnictwa. Napróżno Paweł Oestreich wystąpił ze swem *„Nauczaniem w duchu zgody międzynarodowej"*. Napróżno w czerwcu 1922 r. poseł demokratyczny Hoff wypowiedział w Landtagu znamienne słowa:

„Jest nie do zniesienia, że po upływie trzech lat od dnia ogłoszenia Republiki niemieckiej, nie wprowadzono żadnych zmian do podręczników!".

Napróżno również radca Erick Witte protestował przeciw naganie, udzielonej mu przez ministra oświaty za wspomnienie podczas wykładu o Lidze Narodów:

Domagam się prawa przekonywania mych uczniów o konieczności zapobieganiu nowej wojnie za wszelką cenę!

Napróżno wreszcie prof. Wernecke wydał ostatnio swą rewelacyjną broszurę p. t. *„Die Vergiftung des deutschen Volkes durch Lesebücher"* (Zatruwanie narodu niemieckiego za pomocą podręczników szkolnych).

Nad głosami, wzywającemi do opamiętania, góruje pełen nienawiści śpiew Hauptmanna:

Chcemy dziś — mąż przy mężu —
Zczerwienić żelazo w krwi,
W krwi Francuzów.
O! dniu radosny, dniu pomsty!
Jak miło brzmi twe imię w uszach niemieckich!

Nowe pokolenie niemieckie, wychowane na takich podręcznikach, stanowić będzie groźne niebezpieczeństwo dla pokoju europejskiego. (p.)



Burzliwa manifestacja studentów uniwersytetu berlińskiego, protestujących na placu Cesarza Franciszka Józefa przeciwko postanowieniom traktatu w Wersalu. (Wide World)

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI.

Mokry wyścig



Jazda kierowców Tatry, pp. Weinschenka i Vermirvsky'ego przysporzyła im laurów, samochodom zaś jeszcze jedno chlubne świadectwo ich doskonałej konstrukcji

A więc, przedewszystkiem, lało. Lało, jak z cebra, lało nieprzyzwoicie, lało beznadziejnie!

Co kto wylazł na karcz, albo na jaki głaz, albo nawet wdrapał się na smreka, żeby zasięgnąć języka i powiedzieć tym — tam, na trybunie sędziowskiej, jakie są widoki — wracał, ciurkając wodą, jak gąbka.

— Żadnej nadziei...

Meta telefonowała do startu, a start do mety. Półmetki i punkty kontrolne dzwoniły raz tu, raz tam.

— U nas deszcz. A u was?

— U nas ulewa.

Potem, żeby się snać Jury i Publice czekanie nie sprzykrzyło, zaczęły trzaskać pioruny. Bliżej, dalej, mniejsze pioruny, większe pioruny, cały komplet piorunów. Telefonistów, warujących ze słuchawkami na uszach, zaczęło uderzać leciutenieczko... Nie dużo, tylutko, że paru cucili lekarze...

— Żyć, nie umierać!

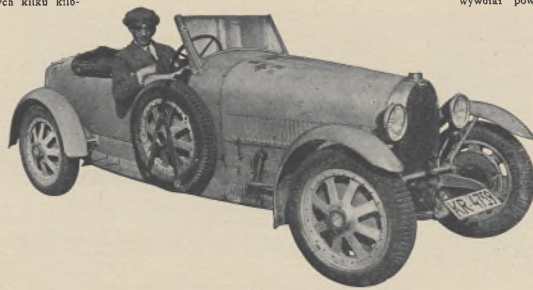
Iskrzenia, nagłe uderzenia, atmosferyczne trzaski, krótkie spięcia, zakłócenia odbioru, głucho pauzy na linji, kiedy właśnie już — już miały wozy startować — i wiadra, cebry, konwie tatrzańskiej ulewy. Żeby chociaż ta przeklęta burza pohurgotała sobie, postrzelała na wiwat, a potem przestała! Nieprawda. Uczepiła się tych kilku kilometrów wyścigowej trasy pod Morskiem Okiem, wpatrzyła się w nią, jak wrona w gnat, i dokazywała, jak mogła. Sędziowie bili się z myślami.

— Puszczać — nie puszczać?

Naradzali się między sobą.

— Zaczynać — nie zaczynać?

Ostatecznie, wyścig, na który się zjechała cała automobilowa Polska, odbyć się musiał. No, i publiczności coś się należało. Gotowa była zdemolować trybuny. Wreszcie, dalsze czekanie groziło ostatecznem rozluźnieniem się obyczajów. I tak już jedna dama na trybunach wypiła całą butelkę Martella, a inna dama, skądinąd surowa, zaczęła jednemu panu jeść z ręki kabanosy i surowe ogórki...



„As" automobilizmu polskiego, Stanisław Szwarcsztajn na swoim Bugatti

Ryknął megafon (czytaj: Ripper - senior).

— Wystartował pan Fiszer na Tatrze! Proszę zejść z trasy!

Publiczka, jak gdyby domyślając się, że pan Fiszer pojedzie sobie spacerkiem i zrobi czas II min. 53 sek. i 125 tysiącznych — właśnie tem tłumniej wylegla na trasę. Pokazało się też na wirażach kilkoro cyklistów, cielę, grupka giestykulujących starozakonnych i młoda kobieta z dzieckiem przy piersi.

— Maszyna idzie! Za barjerę! Trasa wooool-naaaa!!!

Ryszard Herget, człowiek o gołębiem sercu, machnął parę razy beznadziejnie chorągiewką.

— Proszę zejść z toru!

W tej samej chwili jakaś roztargniona panna w zielonym pull-overze przerwała nitkę przy elektrycznym chronometrze...

Jak jechali, nie będę opisywał. Wogóle, nie mogę wyjść dotąd z podziwu, że się wszyscy w ostatniej chwili nie wycofali z wyścigu i że duży autobus Cybulskiego nie skończył walk - owerem. Ulewa siekła w oczy, gęsta, nieprzenikniona mgła zasłaniała wiraże, szosa rozmiękła niebezpiecznie.

— Amilcar minął wodospady!

Dopieroż się zagotowało na trybunach. Bo ten lilipuci Amilcarek leciał z szalonym fajerem. Ledwo wystartował, już go zobaczyły trybuny, a niebawem zawyły ostatnie, groźne serpentyny— i mały djabeł, mistrzosko pilotowany przez pana Schmidta, przeleciał przed sędziami.

— Sześć minut, czterdzieści jedna i trzydzieści ośm setnych sekundy!

Rozległy się spontaniczne brawa.

Potem przybyli panowie: Januszkowski na Alfa Romeo i Bogucki na Bugatti, obaj średnio; potem Vermirovsky na Tatrze — doskonale; potem Weinschenck, również na Tatrze, też doskonale. Potem nie przybył pan Gerhard, bo Avions - Voisin, którego tak ciekawe były damy, zaciekawił się, po drodze, kwiatkami w rowie i utknął w środku trasy. (Obeszło się, Bogu dziękować, bez wypadku!)

Przybyła, nie bez wypadku, pani Koźmianowa, jedyna dama, biorąca udział w tej imprezie. Choć jechała długo, przyjęta została owacyjnie.

— Baczność! Startują wozy wyścigowe!

Gwar głosów przemógł szum ulewy.

Panu Zawidowskiemu wyścig się nie udał. Bodaj, że nawet cisnął czapkę o ziemię, przy bywszy do mety. Zato Szwarcsztajn już znacznie czas poprawił: zrobił wyścig w 6 minut 32/39 sekundy.

Start Liefeldta, mistrza nad mistrze, wywołał powszechne poruszenie na trybunach. Każdy wyciągnął swój stopper, a w braku stoppera bodaj zegarek z sekundnikiem, i liczył półgłosem...

— Minuta... Dwie... Trzy... Cztery...

Wspaniały Austro - Daimler Liefeldta nie kazał na siebie długo czekać. Ledwo minęła minuta piąta, już go było słychać w lesie. Przemknął...

Czekaliśmy z zapartym oddechem.

— Czas pana Liefeldta: 6 minut, 16 sekund, 915 tysięcznych!

Pozostał jednak, jako ostatni, młody Ripper, „Jaś Ripper", cudowne dziecko, zeszłoroczny zwycięsca. I okazało się, że laury 1928 roku nie były przypadkowe. Pokazując zwykły swój, nieposkromiony elan, wyzyskując nadto umiejętnie tory, jakie tego dnia bezsprzecznie posiadały lżejsze i krótsze wozy, nadleciał Ripperek, jak strzała, poprawiając czas Liefeldta o prawie II sekund: 6 min. 5 i 695 sekundy!

— Bravo! Bravissimo!!!

W ten sposób zaszczytny puhar znalazł się po raz drugi w rękach drugiego przedstawiciela wielkiej „dynastji" Ripperów, zapisanej złotemi głoskami w polskich kronikach sportowych. Ripper-senior promieniał. Udał mu się syn!

A teraz, moi drodzy, powiem wam w sekrecie, że po ukończonym wyścigu odetchnęliśmy wszyscy z ulgą... Mogło się przecież skończyć gorzej...



Jan Ripper zwycięsca wyścigu na maszynie „Bugatti" uzyskał czas 6.06 4/5

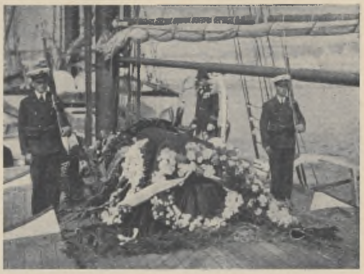


Liefeldt, dotychczasowy mistrz polski na rasowym Austro-Daimlerze podjeżdża na start.

Żałobne szczątki polskiego bohatera Atlantyku, ś. p. mjra Ludwika Idzikowskiego na Ziemi Ojczystej



Statek „Iskra", na którego pokładzie przewieziono żałobne szczątki ś. p. m-jra L. Idzikowskiego, przybija do portu w Gdyni



Warta honorowa marynarzy floty wojennej na pokładzie „Iskry", przy trumnie bohatera lotu nad Atlantykiem.



Samoloty wszystkich eskadr lotniczych towarzyszyły z Gdyni do Warszawy pociągowi, którym przewieziono szczątki ś. p. m-jra Idzikowskiego do stolicy. (Fot. W. Brzozowski)



Warta honorowa wojsk lotniczych przy żałobnym wagonie na poduszce — liczne ordery, które dzielny lotnik zdobył podczas kilkoletniej swej służby. (Fot. W. Brzozowski)



Kondukt pogrzebowy ś. p. m-jra Idzikowskiego odprowadziły tysiączne tłumy. W pierwszym rzędzie za samolotem, na którym złożono trumnę, kroczył towarzysz tragicznego lotu, mjr. Kubala

Papuas

Deszcz, deszcz, deszcz. Co dzień deszcz. Już dwa tygodnie jak ogród letni „Czerwona Róża" jest nieczynny. Już dwa tygodnie, jak ja i Waśka żyjemy o suchym chlebie. Waśka — deklamator i śpiewak, ja zaś fenomen na bałałajce i „połykacz szpad". I jakie licho zaniosło nas do tej dziury!

Od rana wałęsam się z jednego kąta do drugiego naszego wstrętnego pokoju. Waśka zaś, leżąc na dziurawej kanapie, zmrużywszy oczy, — deklamuje wiersze nowej piosenki swego repertuaru.

— Zamilcz, błagam cię! Zamilcz, Wasieńko, aż wstręt bierze. Zostaw, zostaw!... Słuchaj no. Mam ideę — chcę zostać papuasem.

— Zwarjowałeś!

— Nic podobnego. Jedyne wyjście z tej parszywej dziury. Chcę być papuasem. Już dawno marzyłem o tem. Ach, co za roskosz być papuasem! Nikt ci bez przyczyny mordy nie dotknie i brzydkiem słowem nie zleje. Wszędzie respekt i szacunek. Psia krew, poco w Kałudze, czemu urodziłem się w Kałudze!...

— Ależ w jaki sposób? — zagadnął Wasyli.

— Słuchaj. Ortuj meizdęb cilap „Sknits" i cerz żet ortuj szeizdęb. Ikał! Kapujesz! Kręć słowa na wspak. Szminki mamy, pastę do obuwia również. Więc do roboty!...

I Wasia, zalotnie plunąwszy na mój policzek, nałożył warstwę pasty i rozmazawszy szczotką, zaczął „robić" twarz.

Przez dwie godziny byłem gotów. Granatowa, krótka spódnica, miedziana obrączka w nozdrzach, czerwone, szklane korale na szyji, na głowie zielone pióra, wydarte z ogona jakiegoś ptaka i chude, włochate nogi obute w sandały, — tak mnie zmieniły, że Wasia Malczikow przytulił mnie do siebie i zapytał się:

— Kolu, jak się czujesz, wogóle?

— Zdi od ałbajd! — odpowiedziałem i wydałem rozporządzenia:

— Pędź na miasto, dzwoń do ispołkomu (komitet wykonawczy), opowiedz sklepikarzowi! Jednem słowem, za godzinę wszyscy mieszkańcy i urzędy powinni wiedzieć, iż w mieście zjawił się papuas. Mów zresztą co chcesz. Leć piorunem i czekaj na mnie koło apteki obok ogrodu...

Ulica uśmiechała się do mnie. Milicjanci i wojskowi stawali na baczność. Obywatele ustępowali z drogi i w oczach ich czytałem zachwyt i zawiść. Cały szlak mój do apteki był szlakiem zwycięscy, bohatera, ulubieńca. Każdy proponował mi swe usługi. Mówiono ze mną, jak z dzieckiem. Jedno tylko było nieprzyjemne: przemawiano do mnie bardzo głośno, jakgdybym był głuchy.

— Towarzyszu papuasie! — zwrócił się do mnie z przedmową prezes ispołkomu. — Wielką proletarską wdzięczność składam wam za to, iż odwiedziliście naszą czerwoną ziemię. Jesteśmy pewni, że kiedy wrócicie do swojej ziemi ojczystej, oddacie waszym robotnikom i włościanom nasze płomienne i rewolucyjne pozdrowienia i oprócz tego zapewnicie ich, że w rychłym czasie zwolnimy proletarjat papuaski od buta imperjalizmu.

W odpowiedzi uśmiechałem się i dziękowałem:

— Ejulk, ejulk.

Nadeszła orkiestra, zagrała marsza Budennego i uświadomieni obywatele krzyczeli hura.

Urządzili wspaniały bankiet w klubie. Przemówienia, toasty. Wino lało się, jak woda. Obok mnie siedziała prezesowa i tak się umizgała i tak się uśmiechała do mnie,... A ja jej szeptałem czułe słowa papuaskiej miłości:

— Erbod oksbab, aisp werk.

I to mnie właśnie zgubiło. W drugim dniu uroczystości na intencję mego przybycia, kiedyśmy siedzieli na balkonie, a ona pokazywała mi jakieś ciekawe, jej zdaniem, zabytki miasta, zapomniawszy, iż jestem papuasem — palnąłem:

— Marja Arystarchowna, a może tak na łódce do zarośli wybierzemy się pobawić! Klawo?

— Ach! — krzyknęła i uciekła...

W gabinecie prezesa miała miejsce krótka rozmowa:

— Więcie, czem to pachnie?!... W proszek!... Pod ściankę!... Aferzysto!...

— Tak, ale, towarzyszu prezesie, to dla was nie jest tak bardzo wygodne. Co powiedzą w mieście, co powiedzą w gubernji?... Wyście i spotkanie urządzili, wyście i mowy wygłaszali!...

— Milczeć!...

Nazajutrz wyjechaliśmy pośpiesznym: ja i Waśka. Orkiestra grała marsza. Prezes, patrząc gdzieś ponad naszemi głowami, wygłaszał pożegnalne przemówienie. Kołysały się sztandary. Uświadomieni obywatele krzyczeli hura...

Spolszczył Sacha M.



Sortowanie i pakowanie nowych banknotów dolarowych w drukarni państwowego banku amerykańskiego w Waszyngtonie. (Wide World)

Życie dolara

Dolar — pan świata — stoi w przededniu doniosłej zmiany w swem życiu. Wyobraźcie sobie, że magiczny ten czarodziej ma się w najbliższej przyszłości poddać operacji Steinacha. Po zabiegu tym imć dolar będzie znowu młody i świeżutki, jak to nowonarodzone niemowlę, będzie w dalszym ciągu z niesłabnącą energją sprawował swe rządy ciał i dusz, tylko że... będzie trochę mniejszy.

Stany Zjednoczone przyszły do wniosku, że utrzymanie dolara jest zbyt kosztowne. Kosztuje ono kraj ładne miljony dolarów rocznie. Przedewszystkiem życie jego jest zbyt krótkie. Trudno, wybrańcy bogów umierają młodo. Śmiertelność zielonych papierków jest poprostu zatrważająca. Przed niespełna dwudziestu laty przeciętne życie banknotów dolarowych trwało od 16 do 24 miesięcy, a w roku 1926 już zaledwie 7 miesięcy. Bo też jest to żywot niezmiernie pracowity. Każdy dolar w ciągu krótkiego swego istnienia zostaje pięć razy wydany na płacę roboczą, pięć razy na tytuń, trzy razy na codzienne posiłki (obiady, śniadania i kolacje), raz na akcesorja automobilowe, po razie na mydło i pastę do zębów, słoninę i podwiązki, dwa razy na strzyżenie i golenie. Nic dziwnego, że uwiąd starczy prędko staje się jego udziałem. Pomiętoszony, podarty i zatłuszczony, wyblakły i pomarszczony wraca dolar z swej wędrówki do skarbca państwa, jako nienadający się więcej do użytku. Po tej śmierci cywilnej dolara następuje także śmierć faktyczna. Wbrew powszechnemu mniemaniu zużyte banknoty bynajmniej nie zostają spalone. Utrzymywanie takiego „krematorjum" jest drogie i nieopłacalne. Zużyte dolary przesyła się do specjalnych zakładów, gdzie zmywa się z nich farbę i przerabia w dużych kotłach na zwykły demokratyczny papier do pakowania i zwijania różnych rzeczy. I kto wie, czy śledź kupiony przez ostatniego nędzarza amerykańskiego nie jest zawinięty w „były" dziesięciotysięczno-dolarowy banknot. Sic transit...

To też co rok 1 200 ton zużytych banknotów wraca do skarbca i takaż ilość nowych papierków musi być puszczona w obieg. Pociąga to za sobą olbrzymie koszty i specjalna komisja uczonych rzeczoznawców pracuje bezustanku, nad przedłużeniem życia zielonego potentata i nad zmniejszeniem w ten sposób kosztów związanych z jego utrzymaniem. Przy pomocy dowcipnych aparatów bada się jakość papieru, jego moc i rozciągliwość, odporność na różne czynniki, na światło, wilgoć, ugniatanie. Jednocześnie bada się wszelkiemi możliwemi sposobami jakość i rodzaj farby, któraby się najlepiej nadawała do drukowania banknotów. Po tych wszystkich zabiegach specjaliści amerykańscy mają nadzieję, że uda im się przedłużyć życie obecnej emisji do 9 miesięcy. Na wszelki jednak wypadek postanowiono zmniejszyć format nowych banknotów. Czy to pomoże — niewiadomo, ale w każdym razie zmniejszy koszty o 2 miljony dolarów.

Pan Frank White zasiadł więc ponownie dla wykaligrafowania swego cennego podpisu. Mister Frank White jest skarbnikiem Stanów Zjednoczonych i podpis jego jest odbity na każdym banknocie dolarowym. Rozumiecie, państwo, taki podpis... Każda litera warta jest setki miljonów dolarów, a żeby tak posiadać część, przypadającą na tę małą kropeczkę nad tem „i", to można spokojnie spać i z pogardą patrzeć na egzekutorów warszawskich. Tak, podpis Franka White'a, to nie żyro na warszawskim wekslu.

Przeszło cztery miljardy dolarów opuszcza rocznie amerykańskie państwowe zakłady graficzne. Olbrzymia ta suma wydrukowana jest w 39 różnych postaciach, w zależności od rodzaju emisji i pokrycia. Banknoty, posiadające pokrycie w złocie inaczej wyglądają od mających pokrycie srebrne, a te znów wyglądają inaczej, niż papiery pokryte przez inne walory. Przy segregowaniu tych różnych rodzajów banknotów niejeden kasjer osiwiał już w ciągu jednej nocy, a niejeden chyba wpadł również w zieloną melancholję, nie mogąc nawet zalać robaka „jedną gorzką". (Przecież nie można dla jednego kasjera znieść prohibicji). Ale teraz będzie już inaczej: Każdy rodzaj będzie miał swój kolor. Dla kasjerów nastąpi złoty okres. Chociaż, kto wie: amerykańskie pisma techniczne grożą już, że „elektryczne oko" może samo segregować różnokolorowe papierki, bez pomocy człowieka. I biedny zredukowany kasjer, który usychał z tęsknoty za kieliszeczkiem z powodu obfitości różnorodnych papierków, będzie usychał z powodu ich braku...

A dola tych mistrzów tabliczki mnożenia wcale nie jest godna zazdrości. Żeby przeliczyć miljard dolarów w pojedyńczych banknotach, trzeba pracować po osiem godzin dziennie w ciągu stu lat. Gdyby ułożyć te papierki obok siebie, utworzyłyby one łańcuch długości przeszło miljona kilometrów. Jest to odległość zgórą dwa razy większa, niż odległość od ziemi do księżyca i z powrotem! Można by z nich było ułożyć dolarową szosę dziesięć stóp szeroką wpoprzek całej Ameryki, od New-Yorku do San - Francisko. Ułożone w stos jeden na drugim tworzyłyby kolumnę 750 razy wyższą od słynnego pomnika Waszyngtona. Poprostu, dolarowy palec w niebo... A przecież miljard dolarów to zaledwie dwie piąte całkowitej ilości banknotów amerykańskich.

Codziennie państwowe zakłady graficzne w Stanach Zjednoczonych wyrzucają trzy miljony nowych, lśniących papierków. Codziennie, trzy miljony papierowych żołnierzy rzuca się na targowisko świata, żeby podtrzymywać sławetne „prosperity" amerykańskiego władcy, żeby we wszystkich częściach globu umacniać ciężkie jego panowanie. Zdobywają dlań źródła nafty i odlewnie stali, platynę i węgiel, chińskie koncesje i gwiazdy filmowe, plantacje kauczuku i skarby muzeów. Od Kamczatki po Ziemię Ognistą, od Shanghaju po mroźną Alaskę wprzęgają w jego rydwan ludy, państwa i kontynenty. Na ich widok wykrzywia się spazmem uśmiechu martwa twarz Chińczyka, szczerzy się radośnie rasowa twarz europejczyka, zielonym błyskiem zachłystują się płomienne oczy południowca; one zapalają niesamowite ogniki w jasnych błękitnych oczach i dziwną mocą swą zginają dumne wyprostowane grzbiety.

A kiedy dokonają swego zdobywczego dzieła, wracają po swej siedmiomiesięcznej „Wielkiej Paradzie" do kotła, z którego wyszły. Wracają starte i wymiętoszone, i układają się w pokorne stosy u stóp Franka White'a, który podpisem swym wysłał je w daleką Odyseę:

— Ave, Franku White, morituri te salutant!

A. Janik.

Rachunek sumienia słomianego wdowca

(Smętne refleksje panów mężów na parę dni przed przyjazdem małżonek z letnisk na temat wesołych wspomnień o minionych przygodach.)





Dziś mógłbym z łatwością powiedzieć, jakie były przyczyny mojego zniechęcenia do życia, gdy wreszcie zdecydowałem się zasięgnąć porady lekarza. Przedtem nie wiedziałem, co mi jest. Moich dolegliwości nie można było nazwać chorobą, jako, że ból głowy, pieczenie w przełyku i przygodne kurcze żołądkowe ma tysiące ludzi i przez to nie przerywają swojej pracy, nie wyjeżdżają na kurację i nie korzystają nawet z pomocy Kasy chorych. Ale mój wygląd! Nie sprawiało mi bowiem żadnej przyjemności, gdy na każdym kroku „życzliwi" i przyjaciele wciąż zwracali mi uwagę, że się bardzo zmieniłem i, że wyglądam conajmniej o 10 lat starszy, niż jestem w rzeczywistości.

Wyjechałem zatem na kurację. Dr. Kr. dokładnie mnie zbadał, opukał, wysłuchał, wymacał, wymierzył ciśnienie krwi, zbadał reakcję i w końcu orzekł:

— Pan jest organicznie zupełnie zdrów, ale pański aparat trawienia pracuje ze zbyt intensywnem „tarciem". Wątroba jest powiększona o trzy palce, na brzegach pańskiego języka wyraźnie znać ślady zębów, — język zbytnio się wytęża. Pan musi, tak jak lokomotywa, dać się gruntownie wyczyścić i wyregulować. Oto wszystko!

Przy tych słowach wręczył mi kartkę z przepisami kuracji:

„Godz. 6 rano — górskiej wody zdrojowej 8 kubków, w odstępach 1/4 godziny, godz. 8 rano spacer, godz. 9 — leżak, lektura, sen, godz. 4 ppł. — 6 kubków „źródlanki", godz. 7 wiecz. — spać. Djeta: zero".

Potem wywiązał się między nami następujący djalog (a jestem pewny, że każdy, kto o najprymitywniejszych funkcjach swego organizmu ma takie pojęcie, jakie ja wówczas miałem, byłby się niewątpliwie o to samo pytał.)

— Co pan rozumie pod „djeta — zero", panie doktorze?

— Pozwalam sobie wyrazić przypuszczenie, że pan pojmuje, co znaczy „zero".

— Zero? Nic!...

— Nic!

— Wcale nic?

— Pan musi przychodzić do mnie co drugi dzień, abym mógł śledzić, czy pan przyjmuje jakieś pokarmy, oprócz zalecanej wody. A jeżeli pan nie zastosuje się ściśle do moich zarządzeń, to proszę sobie zawczasu poszukać innego lekarza.

— Czy wolno mi palić?

— Nie!

— A jak długo?...

— Aż pan zeszczupluje. Nie pan, ale pańskie organy wymagają urlopu. Za trzy tygodnie będzie pan o 10 lat młodszy. Te zmarszczki na twarzy znikną, gdy pański żołądek odpocznie!

Chociaż byłem wielkim niedowiarkiem, postanowiłem jednakże sprobować. Albo — albo! Jeszcze tego samego dnia wypiłem pierwszy kubek wstrętnej wody źródlanej, a o godz. 7 już leżałem w łóżku. Według przepisu! Było mi dość nudno, ale zmęczony podróżą i konsultacją u lekarza — zasnąłem wkrótce.

Następnego dnia „zdrojówka" smakowała mi tak samo, jak poprzedniego dnia „źródlanka", z tą tylko różnicą, że wykazała niezwykłe zdolności przeczyszczające. Przechadzałem się po deptaku, co kwadrans wypijałem kubek wody i co jakiś czas znikałem....

Gdy nadeszło południe, automatycznie chciałem pójść na obiad. Kosztowało mnie trochę trudu, aby się przezwyciężyć. Popołudnie minęło w spokoju, ale wieczorem zacząłem tęsknić za jakimś porządnym posiłkiem. Zasiąść do stołu i jeść, wydawało mi się w owej chwili szczytem marzeń. Stoczyłem ze sobą ciężką walkę, aż w końcu udało mi się wleźć do łóżka i przykryć się kołdrą.

Drugiego dnia byłem już głodny nie na żarty. Głód do tego stopnia szarpał mi wnętrzności, że byłem bliski płaczu. Zacząłem żałować, że rozpocząłem tak barbarzyńską kurację. Wymyślałem i klątem doktora, nazywając go lekarskim sadystą. Tylko poczucie wstydu powstrzymywało mnie, aby nie pójść do restauracji. Z wściekłością zamknąłem okno, poprzez, które dochodził do mnie zapach smacznych potraw... Próbowałem czytać, — ale głodnemu strawa duchowa jest zbędna.

Trzeciego dnia byłem już o 5 i pół przy źródle. „Wstrętna" woda zaczęła mi smakować, ale zarazem zwiększała mi głód. Już o niczem innem nie mogłem myśleć, jak tylko o jedzeniu. Byłem w rozterce i nie wiedziałem, co czynić. Czasami stawałem przed oknami sklepów spożywczych i w myślach kosztowałem wszystkie wystawione smakołyki i delikatesy, po chwili zaś zaczytałem się—dla przykładu — myśleć o członkach ekspedycji do bieguna północnego, którzy tak bohatersko znosili głód. Ale ten system zawiódł. Ci bohaterowie nie mieli przecież nic do jedzenia, wówczas gdy ja... Wystarczyło tylko wyciągnąć rękę... Wieczorem siedziałem przy otwartem oknie i z rozkoszą wchłaniałem zapachy potraw, dochodzące do mnie z kuchni hotelowej.

Czwartego dnia przeżyłem po raz pierwszy ważne zdarzenie: zrozumiałem znaczenie słowa „źródło". Cóż to za wyraz! Jakaś poezja! Piłem „źródlankę" ostrożnie, pieszcząc każdą kropelkę, rozkoszując się jej wilgocią. W nocy śniły mi się gęsi i cielaki, wyprawiające jakieś orgje żarcia. W dzień zaś probowałem żuć szyszki sosnowe, ale były wstrętne. Lecz za to przyjemnie było siedzieć w parku na ławce przy kimś, kto palił wonne papierosy... Można śmiało powiedzieć, że właściwie żyłem jedynie tylko w tych chwilach, gdy piłem wodę. Poza tymi momentami miałem wrażenie, że to nie ja, ale mój duch wałęsa się po ziemi.

Piątego dnia byłem już tak oszołomiony, że nie mogłem się oprzeć pokusie. Poszedłem do jakiejś zadymionej kawiarni i zamówiłem kawę i papierosy. Spełniło się marzenie pięciu dni i pięciu nocy. Już samo zapalenie papierosa sprawiło mi, do owego czasu nigdy nieodczuwaną rozkosz, a funkcja pierwszego głębokiego zaciągnięcia się dymem wydawała mi się największem szczęściem. Potem przyszła kolej na kawę. Ostrożnie, jakby w ekstazie, posmakowałem pierwszy łyk: rozpłynęła się i napełniła moją jamę ustną czarownym swoim smakiem. Zdawało mi się, że mi nawet smakuje jej barwa. Najbrunatniejszy bronz! Odżyłem i, tonąc w dziwnem, rozmarzonem wzruszeniu, wchłaniałem kłęby wonnego dymu.

Nagle pokój zaczął wirować i dookoła mnie tańczyć. Serce zaczęło mi gwałtownie bić, żołądek i wszystkie wnętrzności zaczęły się kurczyć, gardło mi się ścisnęło, zrobiło mi się śmiertelnie słabo! Zrozumiałem: trucizna... brrr... Dużym łukiem wyleciał mi z ręki papieros w powietrze.

Szósty dzień mego odrodzenia zaczął się od tego, że zamilczałem przed doktorem moją niefortunną próbę dokonania przełomu. Podczas badania jamy brzusznej, dr. Kr. rzekł:

— Sądzę, że po ośmiu dniach będzie pan oczyszczony do tego stopnia, że uda mi się, od tej strony, wyczuć pański kręgosłup! Wówczas otrzyma pan szklankę mleka dziennie.

Przy źródle stałem się oddawna przedmiotem ogólnej uwagi. Uważano mnie za warjata, względnie za „istotę wyższą".

— Tak, wogóle nic nie jem!, musiałem często odpowiadać.

Istota wyższa! Moje organy trawienia funkcjonowały intensywniej, niż kiedykolwiek dotąd. Ósmego dnia zacząłem się niepokoić. Ta „produkcja" z niczego stawała się dziwnie niesamowita.

— Niema się czemu dziwić, — objaśniał lekarz.

— Odpadki!.. To jest właśnie cel i istota mojej kuracji!

Głód ustał zupełnie. Dziewiątego dnia raz jeszcze wżarł się w moje wnętrzności, jak hjena, szalejąc i skacząc. Ale tylko na krótką chwilę. Było to dla mnie uczucie dziwnie obce.

Piętnastego dnia otrzymałem pierwszą szklankę mleka, którą piłem pomału i krótkimi łykami. Zrobiło mi się przytem gorąco. Mogłem śledzić każdą kroplę, jak się rozchodziła po organizmie: żołądek i jelita rzuciły się na mleko, tysiące nieznacznych komórek w mojem ciele pochłonęło je bez śladu.

Dwudziestego pierwszego dnia ukończyłem kurację. Dosłownie, bałem się życia normalnego. Ale dr. Kr. uspokoił mnie, mówiąc:

— Pański organizm jest teraz, jak maszyna po gruntownem oczyszczeniu i odnowieniu. Może pan zacząć na nowo. Natura sama wskaże panu, co i ile ma pan jadać. Spodziewam się, że wstręt, jaki pan odczuwa do gastronomicznych wybryków cywilizacji uchroni pana, przynajmniej czasowo, przed dawnemi przyzwyczajeniami.

Kazałem się sfotografować, a porównawszy odbitkę z fotografją zrobioną przed kuracją, zauważyłem, że istotnie odmłodniałem. Zmarszczki ustąpiły, po żółtej cerze nie było nawet śladu, oczy nabrały blasku.

I chociaż po powrocie do domu zacząłem odrazu pracować, jadałem jednak tylko skromne potrawy: gotowaną cielęcinę, jaja, owoce, chleb, mleko. Przybyło mi wprawdzie trochę na wadze, ale niezdrowe pokłady tłuszczu zniknęły, a muskuły stały się elastyczne, jak za lat młodzieńczych.

A kuracja kosztowała tak tanio...

(m. s.)

Dzieci pana Perełki

Jeszcze dawniej, za czasów, kiedy żył pierwszy mąż pani Klary, — kapelmistrz orkiestry kolejarzy, — pan Feliks Perełka, w domu istniał jakiś ład i porządek. Bo chociaż pan Perełka często się upijał, to jednak potrafił być srogim i wiedział czego się trzymać i jak postępować, aby uśmierzać buntujące się hordy swych własnych dzieci i swą żonę Klarę, która tym buntom przewodziła.

A dzieci pan Perełka miał wiele. — Zdarzało się nawet, że gdy wracał do domu od Kwaśniaka, (a zwykle gdy wracał, był w specjalnem usposobieniu), nie był w stanie poprostu ich się doliczyć. Dziwne historje działy się wówczas w domu Perełków.

Otóż pan Perełka siadał na krześle pośrodku pokoju, rozparłszy się na nim jak Batory pod Pskowem, — i grzmiącym głosem rozkazywał wszystkim wstawać. Następnie każde z dzieci musiało się przed nim zameldować, że jest. Pytania padały jedno po drugiem: — Jak się nazywasz? — Ile masz lat? — W którym roku się rodziłeś, — Gdzie i na jakiej ulicy? — Czem jest twój ojciec i jaki zawód pragnąłbyś sobie obrać

Chwilami zdawało mu się, że go oszukują, wówczas zwracał się do wystraszonej żony:

— Klarciu! — czy to ten Maniuś, co miał w zeszłym roku na jesieni koklusz? Bo mówi, że nie miał kokluszu!

Wreszcie padało tęgie pytanie, skierowane w stronę ostatniej ofiary: — Ile masz braci i sióstr i wylicz kolejno ich imiona!

— No, a teraz idź spać błaźnie i na przyszłość wiedz o tem, że obowiązkiem szanującego się człowieka jest wiedzieć wszystko o tych, którzy go otaczają. A ty, Klarciu! powiedz mi ostatecznie ile my mamy dzieci — jako matka winnaś to wiedzieć...

W chwili, gdy padało to pytanie, Klarcia zazwyczaj już na dobre szlochała i odpowiadała cicho:

— Siedmiu chłopców i cztery dziewczynki, sam o tem powinieneś wiedzieć najlepiej, ty nieszczęsny pijaku!

— Czy aby się nie mylisz, koteczko, czy aby się nie mylisz — i pan Perełka zasypiał, pełen poczucia spełnionego obowiązku.

Rano role się zmieniały. Stół, przy którym siedział pan Perełka, obstępowały dzieci, złorzecząc głośno; zwłaszcza Hipek, najstarszy — bo piętnastoletni wałkoń:

— To ci dopiero zabawę sobie wynalazł po nocy — ojca udaje, a zadania mi kiedyś nie mógł rozwiązać. — Nie idziemy do szkoły , — czy możemy pójść do szkoły, skoro całą noc męczył nas zły ojciec — no matko, powiedz sama?

Pani Klara zaś stojąc koło kredensu, patrzała na skulonego, chlipiącego kawę męża i kiwając głową mówiła jak zwykle cicho:

— Mój Boże! I ma się za człowieka inteligentnego! A czy człowiek inteligentny potrafiłby podobnie bezecne zbrodnie po nocy wyprawiać?! Jakiż przykład mają te dzieci!

— Ojciec w ten sposób, doprowadza nas do nieuctwa — odpowiadał rezolutny Hipek, — bo czyż możemy się uczyć mając głowę pełną ponurych wspomnień z nocy. A matka nasza to co!

— O! milczcie, bando przeklęta — czy dom ten nie jest moim domem, w którym mógłbym po kroku nierozważnym nabrać sił do pracy!

— Do nowego pijaństwa! — powiadała cichutko pani Klara.

— Prosze być cicho! a wy marsz do szkoły!

Tu pan Perełka stawała się lwem i momentalnie uśmierzał strajkujących.

— Ty Kostek możesz pójść ze mną na próbę, Klaro, podaj mi marynarkę alpagową, o ile jest tam przyszyty brakujący guzik do jednego z rękawów...

Kostek miał piegi i był faworytem ojca. Do szkoły nie chodził, gdyż miał lat dziewięć i uczył się w domu Zwykle towarzyszył ojcu na próby orkiestry kolejarzy.

Kostek lubił te spacery. Zdaleka było widać wielki, drewniany budynek, z którego dolatywały dźwięki instrumentów.

To kolejarze ćwiczyli się na swoich waltorniach, puzonach i klarnetach.

Gdy pan Perełka wchodził, robiło się cicho, gdyż szanowano go za jego srogość i energję.

— Dzień dobry panom — proszę usiąść na swoje miejsca. Kostuś! — tam w rogu stoi plecione krzesło, na którem również możesz usiąść.

Pan Perełka podciągał w górę zbyt wystające mankiety od koszuli, brał w dwa palce trzcinkę, uderzał nią kilkakrotnie w swój pulpit i chwilę trwała cisza.

— A, prawda! — wszakże panowie nie wiedzą, co będziemy grali — otóż przerobimy sobie parę piosenek wojskowych, które to piosenki grać będziemy w rocznicę śmierci pana burmistrza Gołąbka. Proszę sobie przygotować nuty: „Nie zapomnę cię olszyno". — No, — proszę — proszę, zaczynam: um—pa—ra—ra— (pan Perełka zwykle pomagał sobie głosem, (umpa—ra—ra, tum—ba——rara,— tum... Panie Tomnik) pan jak zwykle nie potrafi trzymać przyzwoicie klarnetu — klarnet mój panie, trzyma się tak, iżby wyglądał jak klarnet w ręku muzyka, a nie jak muzyk w ręku klarnetu, ot tak, proszę!

Pan Perełka poczynał się rozgrzewać i kolejarze z niepokojem śledzili jego ruchy.

— Zaczynamy! — Um-pa-rara, — umparara, wyżej tam w końcu, do stu patyków, — umpararaa, — allegro! — to jest w nutach u djabła!

Włosy się wichrzyły na głowie pana Perełki i wygląd miał niezwykle złowrogi, a potężny.

— Dalej! — taj-tiuriutiu, — taj-tiuriutia, — panie Wężyk! — czy pan trzyma w rękach tubę od gramofonu, w którą pan wrykiwuje jakieś tony bez związku, czy waltornię?

— Przecież ma pan przed nosem nuty, na których zna się pan niewątpliwie, grając w mojej orkiestrze, a nie u tego partacza Bubki...

— No dalej! — Hop-lololo, — hoploloo, — dobrze, dalej tak, dalej, — hoplolo, — upa-upa,— oś! — Boże, — wszystko na nic, na nic, rozumiecie! — bodajście poginęli nędznie, — na podwórka was wysłać — o! partacze!!!

Powtarzało to się kilkakrotnie — aż wreszcie pan Perełka jako tako zadowolony, brał Kostka za rękę mówiąc: chodź, idziemy do domu odpocząć.

Lecz na placu nawijał się ten przeklęty pisarz od rejenta, Korpiej, albo komendant straży ogniowej Głowacki i pan Perełka mówił do Kostka: idź do matki i powiedz, że ja będę za chwileńkę.

— Dzień dobry, panie komendancie — podobno wczoraj spaliły się zabudowania pana Zwirzka, w których to zabudowaniach hodował swoje rasowe króliki — krzyżaki, klapouchy i tym podobne. Króliki te podczas pożaru rozbiegły się po okolicy i dziś rano, chłopcy w pogoni za temi w gruncie rzeczy niewinnemi zwierzątkami, potratowali okoliczne zasiewy, tak że już wpłynęło parę skarg na ręce pana burmistrza. A Zwirzek siedzi sobie w stolicy, i nie wie jakie czekaja go nieprzyjemności. Takie to życie urządza nam niespodzianki! — Aa,

— Panie Perełka! Kto panu takich głupstw naopowiadał, — wprawdzie miał miejsce wczoraj malenki pożarek w ogrodach pana Różyckiego, mianowicie zapalił się z niewiadomej przyczyny płot okalajacy ogród warzywny, i który to pożarek umiejscowiłem natychmiast, zapobiegając w ten sposób możliwości rozszerzenia się szkodliwego żywiołu. A co do Zwirzka, to myli się pan, twierdząc iż jest on w stolicy, — ponieważ spotkać go możemy u Kwaśniaka.

— No, chodź pan na mało piwko, bo nie można powiedzieć, ażeby było za chłodno!

Pan Perełka skonfudowany rozsiewaniem nieprawdziwych pogłosek, rad nierad szedł na piwko, chodź w głowie miał ponury obraz poranka.

U Kwaśniaka pan Perełka zapomniał o rannych manifestacjach, słuchając zwierzeń pana Zwirzka, że hodować króliki byle kto nie potrafi i że gdyby społeczeństwo zainteresowało się hodowlą tych zwierząt, w kraju napewnoby lepiej się działo. A potem pan Perełka całował się z komendantem straży ogniowej i przyrzekał solennie, że w jego domu pożar nigdy nie wybuchnie, bo on sam by na to nie pozwolił. Następnie w nocy pan Perełka wracał do domu i w kurytarzu już krzyczał: wstawać gałgany! — ja was — ja!

Aż pewnego poranka, pan Perełka ciskając pioruny na niemrawego klarnecistę, dostał ataku sercowego i nim Kostek skoczył po wodę, zacny kapelmistrz już nie żył, ściskając kurczowo w ręku trzcinkę.

Na pogrzebie pana Perełki burmistrz miasta wypowiedział sławną mowę, w której dowiódł, że wyjaśnił, co stracili w osobie kapelmistrza Perełki.

Orkiestrą kolejarzy dyrygował Bubek, a niezdarny klarnecista Tomnik trzymał klarnet prawidłowo i grał przecudnie.

Jakoś pod jesień zjawiła się u pani Klary Bubkowa i powiedziała, że jak się ma tyle dzieci, nie można długo trwać we wdowieństwie, a organista, Teofil Submiłka jest człowiekiem zacnym i godnie zastąpi zmarłego pana Perełkę.

Organista nie upijał się wprawdzie, lecz okazał się skończonym niedojdą i perełki rozsypały się po świecie, wspominając energicznego ojca, który umarł na posterunku. A ten piegowaty Kostek wyrósł na tęgiego kapelmistrza i gdy późną nocą wracał do domu, czynił żonie wymówki, że nie mają dzieci i że u jego ojca działo się inaczej.

Zbigniew Uniłowski.




Nr. 37. Basia i Leszek Janczarowie (Dalekie)


Nr. 38. Lola i Dzidziuś Doleżyńscy (Warszawa)


Nr. 39. Hanka, Wojtek i Zosia (Warszawa)


Nr. 40. Dziusia Żyniewiczówna (Poznań)


Nr. 41. Barbara i Janusz Neldnerowie (Zglinna)


Nr. 42. Izabela Kreniska (Tarnopol)


Nr. 43. Tadeusz Kurgelski (Poznań)

Wydawnictwo „7 DNI" oraz fabryka znakomitej czekolady „SUCHARD" ogłaszają

WIELKI KONKURS

„NAJPIĘKNIEJSZE DZIECKO POLSKIE"


Nr 46. Jerzy Skrzywanow (Praga)

WARUNKI

1) Fotografje konkursowe pięknych dzieci polskich w ilości nie większej nad dwa zdjęcia jednego dziecka nadsyłać winni rodzice lub opiekunowie pod adresem Wydawnictwa „7 DNI", ul. Marszałka Focha 2 w Warszawie, z dopiskiem na kopercie: „Konkurs Najpiękniejszego Dziecka Polskiego".

2) Format tych fotografij nie może być mniejszy niż 6 na 9 cm. Pożądane są fotografje wyraźne, czarno-białe, na glansowanym papierze. Fotografij w żadnym wypadku Wydawnictwo „7 DNI" nie odsyła — można je będzie natomiast odebrać po zakończeniu konkursu w Administracji „7 DNI".

3) Każda fotografja winna zawierać na odwrocie wyraźnie wypisane: a) imię, nazwisko i datę urodzenia dziecka, b) nazwisko i dokładny adres rodziców, oraz — w wypadku, gdyby Rodzice lub Opiekunowie nie życzyli sobie ujawnienia nazwiska przed finałem konkursu, c) odpowiednie zastrzeżenie i godło.

4) Do każdej fotografji należy dołączyć: a) odpowiedni kupon, wycięty z „7 DNI", oraz b) etykietę (opakowanie papierowe) 100-gramowej tabliczki czekolady „SUCHARD" z jednego z następujących gatunków: „VELMA", „MILKA", „MILKA AMERE", „MILKA NUT", „ST. BERNARD", „JUBILEUSZOWA", „CAFOLA", „ORANGE", „VELNUT" lub „BITTRA", albo opakowanie 100-gramowej paczki kakao „SUCHARD". Bez kuponu „7 DNI" i bez tego opakowania zgłoszenia nie będą ważne.

5) Termin nadsyłania zgłoszeń wraz z fotografjami, kuponami „7 DNI" i opakowaniami „SUCHARD" upływa nieodwołalnie dnia 1-go października r. b. o godz. 24-ej (o północy). Miarodajna jest data stempla pocztowego.

6) Czytelnicy „7 DNI" sami, na podstawie umieszczonych w „7 DNIACH" fotografij pięknych dzieci polskich wyróżnionych przez jury, wybiorą „Najpiękniejsze Dziecko Polskie", które otrzyma 1-ą nagrodę. Pozostałe nagrody rozdzielone zostaną stosownie do ilości głosów, otrzymanych przez dzieci, biorące udział w konkursie.

7) Specjalne jury kwalifikować będzie nadesłane fotografje do umieszczenia na łamach „7 DNI". Kontrolę nad plebiscytem Czytelników i rozdziałem nagród sprawować będzie notarjusz Mieczysław Różycki.

8) W skład jury konkursowego, kwalifikującego fotografje do umieszczenia na łamach „7 DNI", a tem samem do dopuszczenia ich do udziału w wielkim plebiscycie Czytelników „7 DNI", wchodzą pp.: Juljan Ejsmond, Tadeusz Gronowski, Kornel Makuszyński, Marja Modzelewska, Stefan Norblin, Zuzanna Rabska, Eugenjusz Rafalski, Jadwiga, Kiewnarska (Well).


Nr. 44. Edzio Palczyński (Warszawa, Fot. Malarski)


Nr. 45. Kryś K. (Warszawa, Fot. Malarski)

KONKURS
NAJPIĘKNIEJSZEGO
DZIECKA POLSKIEGO
„7 DNI"
Kupon z Nr. 31-go.



NAGRODY

DLA MATEK NAJPIĘKNIEJSZYCH DZIECI:

1 Nagroda: 3000 złotych,
2 Nagroda: 1000 złotych,
3 Nagroda: 750 złotych,
4 Nagroda: Maszyna do szycia „Singera",
5 Nagroda: Aparat kinematograficzny Pathé Baby z kasetą, filmem i statywem,
6 Nagroda: Gramofon „Dancephon" z 5 płytami,
7 Nagroda: Mebelki dziecinne z „Komispolu",
8 Nagroda: Aparat fotograficzny „Kodak",
9 Nagroda: Piłka skórzana do napompowywania z „Komispolu",
10 Nagroda: Wieczne pióro „Platignum" z „Komispolu".
UWAGA: Nagrody pieniężne będą wypłacone w postaci książeczek oszczędnościowych P. K. O.

DLA CZYTELNIKÓW „7 DNI"

(Nagrody poniższe zostaną rozlosowane wśród wszystkich Czytelników *„Siedmiu Dni"*, którzy wezmą udział w plebiscycie drogą nadesłania głosu na dziecko, zasługujące ich zdaniem na 1-ą nagrodę).

1 Nagroda: 2000 złotych.
2 Nagroda: Kompletny radjoaparat „Natavis" wartości 1500 złotych,
3, 4 i 5 Nagrody: po 500 złotych,
6, 7 i 8 Nagrody: po 300 złotych,
9 Nagroda: Aparat kinematograficzny „Pathé Baby" z kasetą, filmem i statywem,
10 Nagroda: Aparat fotograficzny „Kodak".
12, 13, 14 i 15 Nagrody: po 100 złotych,
16 do 24-ej Nagrody: wieczne pióra „Platignum" z „Komispolu".
25, 26, 27 i 28 Nagrody: piłki skórzane do napompowywania z „Komispolu".

Wszystkim dzieciom, biorącym udział w tym konkursie, znana fabryka czekolady „SUCHARD" nadeśle w podarunku paczkę kakao „SUCHARD", oraz piękny wielobarwny balonik.

BEZPŁATNE ZDJĘCIA KONKURSOWE.

Na mocy specjalnej umowy następujące pierwszorzędne Zakłady Fotograficzne dokonują bezpłatnych zdjęć dzieci naszych Czytelników, biorących udział w konkursie „7 DNI":
Warszawa — Jan Malarski, Chmielna 10;
Kraków — Fot. „Janina", Starowiślna 21;
Lwów — Zakł. Fot. „Grottgera", Akademicka 3;
Zakopane — Fot. Schabenbeck Krupówki;
Rabka — Fot. „Janina";
Iwonicz i Rymanów — Zdrój — Fot. Grottger (ze Lwowa).


Nr. 47. Wojtuś Lemdyn (Warszawa, Fot. Malarski)


Nr. 48. Halinka Wójcikówna (Warszawa, Fot. Malarski)

W następnym numerze podamy piątą serję fotografij konkursowych.

Rozrywki umysłowe

SZACHY.

ZADANIE.

J. Scheel, Slemdal.

I nagroda turnieju narodowego „Hamar Stiftstinde", 1929.

Białe: Ka8, Hh5, Wc1, c3, pd5, h2.



Czarne: Kd2, Gh4, Sb7, e3, pd6, f4

Mat w 3-ch posunięciach.

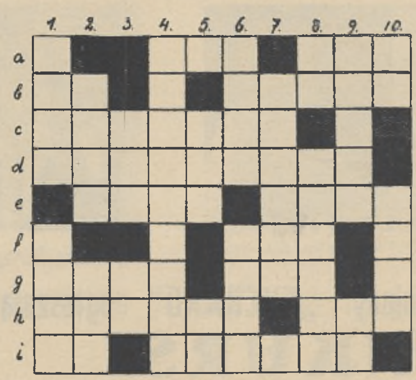
ARYTMOGRYF.

1	2	3	4	5
1	6	7	8	9
10	1	11	10	12
13	8	3	8	1
13	3	8	2	1

Cyfry zastąpić literami tak, aby utworzyć w pięciu rzędach pionowych pięć nazwisk znakomitych sportsmanów, pomiędzy którymi znajdują się (w porządku) do odgadnięcia polski miotacz dyska, znakomita pływaczka, słynny kolarz, biegacz mistrz skoku.

Nagrody za rozwiązanie arytmogryfu i krzyżówki redakcja przeznacza 5 nagród książkowych. Termin nadsyłania rozwiązań upływa w dwa tygodnie od daty niniejszego numeru

* * *



ZNACZENIE WYRAZÓW.

I) pionowych

a1 — rsa psa
a4 — genjalny architekt polski
a6 — serja
a8 — litera
a9 — próżniaki
a10 — ważna figura
b2 — bogini grecka
b7 — część broni strzelnej
c3 — miara wagi
c5 — znajdujący się bez towarzystwa
d8 — głośny pisarz niemiecki
c10 — ptak
f1 — kres wyścigu
f6 — pycha
g2 — miara wagi
g3 — litera grecka
h5 — miara elektryczności
h9 — bóg egipski

II) Wyrazy poziome

a4 — część doby
a8 — imię żeńskie zdrobniałe
b1 — patrz h5 pionowo
b6 — miasto w Belgji
c1 — bohater polsko-amerykański
d1 — genjalny rzeźbiarz polski
e2 — składnik materji
e7 — trzej (łac.)
f6 — wąż
g1 — rodzaj utworu literackiego
g6 — miejscowość znana ze zwycięstwa Napoleona
h1 — rodzaj hałasu
h8 — okres
i1 — przyimek (łac.)
14 — wodospad.

HUMOR

KSANTYPA.

— Proszę pana, dom się pali!

— Biegnij zawiadomić panią!

— O nie, nie ośmielę się... Już od rana jest w okropnym humorze!

PRETENSJA DŁUŻNIKA

— Jak ci nie wstyd! Już pięć razy proszę cię napróżno o zwrot tych stu złotych.

— A ile razy ja cię prosiłem napróżno, zanim mi je pożyczyłeś?...

PRACOWITY

Nowobogacki, angażując nowego szofera: — A kiedy pan skończy z samochodem, będzie pan froterował podłogi, wyprowadzał psy na spacer i pomagał ogrodnikowi.

Szofer: — Dobrze, proszę pana. A czy ziemia jest tu gliniasta?

— Dlaczego?

— Bo gdyby była gliniasta, mógłbym w wolnych chwilach wyrabiać cegły...

DA RADĘ...

— Jest tak na pana zawzięty, że trenuje w boksie, obiecując, że zbije pana na kwaśne jabłko...

— Dam mu radę! Od dzisiaj zaczynam trenować w biegu naprzełaj!

PIERWSZA LEKCJA.

Mama (do córeczki, która po raz pierwszy była w szkole): — No, czego nauczyłaś się, Zosieńko?

— Niewiele, mamusiu, bo kazali mi jutro przyjść raz jeszcze...

MĄDRY KELNER.

— Już trzy razy budziłem tego gościa!

— Czemu nie wyprowadzisz go z restauracji?

— Albo ja głupi! Za każdym razem, kiedy go budzę, płaci nanowo ten sam rachunek...

LOGIKA.

— Dzisiejszej nocy mieliśmy okropną burzę, panie profesorze!

— Dlaczegóż więc mnie nie obudzono? Wiecie wszakże wszyscy, że podczas burzy spać nie mogę!

(k).

DWA LUSTRA.

— Ach Maniu, coś złego stanie się dzisiaj — stłukło mi się to małe ręczne lusterko!

— La Boga! Jaka też jaśnie pani przesądna! Ja zbiłam właśnie w salonie to duże lustro i jakoś nic się nie dzieje.

(k).

NASZE DZIECI.

— Bardzo ładnie, Jasieńko, że nie rzuciłaś skórek z pomarańczy na podłogę przedziału! Czyś wrzuciła je do walizki, córeńko?

— Nie mamusiu, wsunęłam je do kieszeni temu panu, który siedział obok mnie.

Komornik — przywódcą bandytów



Robillard, komornik - bandyta

Wielka Rewolucja Francuska, jak wszelkie inne zawieruchy rewolucyjne, rozpętała najbardziej krwiożercze instykty ludzkie. Jedną z najdotkliwszych klęsk, która w tym okresie dała się we znaki spokojnej ludności francuskiej, było straszliwe rozpanoszenie się bandytyzmu.

Latem 1795 r. prowincja, położona między Ferte-Fresnel a Laigle i Rugles, została zaalarmowana śmiałemi napadami nocnemi jakiejś tajemniczej bandy, nie przebierającej w środkach. Na jarmarku podawano sobie z ust do ust potworne opowieści o okrucieństwie przywódcy tej bandy, który strasznemi torturami wymuszał zeznania o skarbach dobrze ukrytych przed złodziejami.

Najgłośniej perorował, unosił się i oburzał komornik miejscowy, obywatel Robillard. Groźnie marszczył brwi i wywijał laską, głosząc, że śmierć jest dla tych okrutników karą zbyt łagodną — należałoby ich, jego zdaniem, łamać kołem i ćwiartować, odpłacając im pięknem za nadobne.

Potakiwano mu bardzo gorąco. Ktoś zapytał:

— Czy nie uważacie, obywatelu - komorniku, że jednak najlepszem lekarstwem na tych zbójów byłoby nie trzymać pieniędzy w domu, lecz składać je w pewne ręce, np. u naszego notarjusza?

— Jak kto uważa — odparł zimno obywatel Robillard — co do mnie, to nikomu nie dowierzam i ciężko zapracowane pieniądze przechowuję u siebie. Ale ukryłem je tak dobrze, że sam djabeł ich nie znajdzie, a cóż dopiero jakiś tam głupi rzezimieszek!

— Powinniśmy się uzbroić, aby móc stawić zbrojny opór w razie potrzeby — rzucił jakiś obywatel.

— Ładnie byśmy wtedy wyglądali — skrzywił się komornik — czy zapomnieliście, że prawo surowo zabrania posiadania broni. Czy zapomnieliście już o starym Mateuszu, którego niedawno uwięziono za to, że znaleziono w jego domu dubeltówkę? Podejrzewano go, że należy do „białych"! Mógł głową przypłacić swą lekkomyślność!

— Więc co czynić?

— Postarać się o dobre zamki. To wszystko. Republika czuwa nad nami i, wierzcie mi, będzie umiała wykryć i ukarać złoczyńców...

— — — — — — — — — —

Małżonka obywatela komornika nie mogła się pogodzić z tem, że jej mąż od pewnego czasu prawie każdą noc spędzał poza domem.

— Mam interesy w Laigle — zapewniał.

— Dobrze, ale czemu nie podróżujesz za dnia?

— Bo w dzień załatwiam klientów miejscowych. No, bywaj, stara. A zarygluj dobrze drzwi po mem wyjściu z domu. Strzeżonego Pan Bóg strzeże....

Jakiś cień zatrzymał się przed furtką ogrodową.

— Twój przyjaciel Bertrand też się wybiera do Laigle? To dobrze, że nie będziesz sam błądził po lesie...

Rzekła to, by nie drażnić męża. Niecierpiała tego ponurego Bertranda, właściciela małego szynczku w miasteczku. Nikt zresztą nie czuł doń zbytniej sympatji od czasu, kiedy założył w swym szynku „Kdub czystych Jakobinów", który niejedną głowę posłał na gilotynę. Po upadku Robespierra klub ten został rozwiązany. Inny wiatr powiał po ziemi francuskiej — odetchnęli ludziska i coraz swobodniej okazywali Bertrandowi swą pogardę.

— — — — — — — — — —

...Cień ludzki, minąwszy wioskę Saint - Martin d'Ecublei, zeszedł z drogi i naprzełaj przez pola dotarł do ciemnej gęstwiny leśnej. Musiał znać las, jak własną kieszeń, gdyż po przejściu paruset kroków z łatwością odnalazł stary dąb, stojący pośrodku niewielkiej polany, skręcił w lewo i, uszedłszy jeszcze pięćdziesiąt kroków, zatrzymał się i trzykrotnie zaklaskał w dłonie. Ale nikt nie odpowiedział na ten sygnał.

— Jestem pierwszy — wyszemrał cień.

Po chwili dał się słyszeć cichy odgłos kroków. Trzasła gałązka pod czyjąś nieostrożną stopą. Jeden po drugim cienie ludzkie sunęły przez polankę. Jeden — dwa — trzy — sześć!

— Jesteśmy w komplecie...

— Zbliżcie się! — warknął przywódca. — Idziemy do Provenchere. Dość daleko. Będzie mila z okładem. Ale „robota" zapowiada się, jak szło! Droga kiepska — ale powinniśmy stanąć tam najdalej za dwie godziny. Czy obywatel — przewodnik jest między wami?

— Jestem — odezwał się jakiś głos.

— Czy jesteś pewien tego, coś mi opowiadał przedwczoraj?

— Niezupełniej. Właściciel Pervenchères ma w domu grube pieniądzy za część lasu, którą sprzedał cztery dni temu. Sam widziałem, jak niósł wór wielgaśny, ot, tyli!



Inny portret Robillard'a

— No, to dobra! W drogę, kamraty!

— — — — — — — — — —

Po dwuch godzinach drogi dobiegło bandytów dalekie szczekanie psa.

— Stać! Numer drugi — wystąp! Wiesz, co do ciebie należy? Jak zawsze — zajmij się kundlem...

W międzyczasie przezorni kamraci wysmarowali sobie twarze sadzą. Przezorniejsi zasłonili oblicza czarnemi chusteczkami, dla niepoznaki.

Podchodzą do fermy. Pies szczeka coraz zajadlej. Nagle głos jego urywa się w przeciągłym, bolesnym jęku. Skończone. Droga wolna...

Ale szczekanie psa obudziło mieszkańców fermy. W oknach pokazują się światła.

Mocne uderzenie pięścią wstrząsa drzwiami.

— Otworzyć! W imię prawa!

Chwila wahania... Drzwi uchylają się lekko lecz, pchnięte naporem pięciu drabów (szósty pozostał na straży), walą się z łoskotem.

— Dawaj forsę!

Gospodarz, ujrzawszy złowrogie oblicza bandytów, trzęsie się ze strachu i bełkoce:

— Mam... trochę... na bieżące wydatki... przysięgam!...

— Będziesz gadał? Bo z nami niema żartów!

Przenoszą ławę do kominka. Rozpalają ogień i owijają bose stopy gospodarza powrósłami. Bucha płomień — jednocześnie rozlega się nieludzki ryk ofiary.

— Stójcie!

Przerywanym bełkotem zdradza kryjówkę.

— Dobra! Bo byliśmy gotowi upiec ci nogi aż do kości!

Niezawsze jednak kończyło się na przypalaniu stóp. Banda Robillard'a, rozzuchwalona długą bezkarnością, dopuściła się szeregu morderstw, stając się postrachem całej okolicy. Lecz „przyszła kryska na Matyska". Pewnej nocy żandarmerja zarządziła obławę w lesie i wyłapała wszystkich bandytów co do jednego — a między nimi i „obywatela - komornika".



Napad bandy Robillard'a — sztych francuski

Stora Skuggau

„Nam strzelać nie kazano"...

Nakazała świeża, silna myśl ideokratyczna, której na imię: laur pokoju. Głupioby wyglądała idea, gdyby jej w ramionach nie trzymała wola zwycięstwa, a głównie wola zbiorowa. Ona! i z jej nakazu — nam strzelać kazano.

— — — — — — — —

Gdybyśmy tak obserwowali na dworcu głównym w Warszawie, kogo to idea pcha do wagonów międzynarodowych i przypatrywali się twarzom osób odprowadzających, wyczućbyśmy musieli olbrzymią pustkę w przestrzeniach sympatji.

— Co innego piłka nożna, oszczep, dysk, bieg... Co tam strzelectwo?! Kto to widzi i komuby się chciało dźwigać kulowozy i t. p. instrumenty.

— Nam trzeba — mościpanie — efektu, ekranu żywego, emocji i tego, co się w świecie sportowym zowie, „pociągacji smacznej", obnażonej.

— Huk, zapach prochu — ach, fe..., to nosom szkodzi, no i uszkom.

Czyta się te rozmowy w twarzach widzów dworcowych, a widzi niejednokrotnie nawet... domyślny uśmieszek.

Pomimo tego, wsiedliśmy do „międzynarodówki żelaznej" i wściekle jechaliśmy na Berlin. Kiedy przejeżdżaliśmy granicę niemiecką, jakiś zapał do nas wstąpił, bo... bo...

— ...bo w Niemczech ludzie grzeczniejsi,... no i... darzą sympatją wielką wszystkich zwolenników sportu strzeleckiego.

A gdy nas unosił na swym pokładzie statek niemiecki „Sassnitz" — mieliśmy złudę zadowolenia z siebie samych. Bo — byliśmy sami wśród bałwanów morskich i bałwanów powietrznych. Śmiali, weseli i wcale... wcale nie mali.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— Psiakrew! chłód wieje, ale skąd, nie wiem... morskim głosem wyjęczał zawodnik prawdziwy (są między nami zawodnicy niezawodowi).

I jakby na złość ludziom zaspanym, maszynie okrętowej, bałwanom morskim i niemorskim — spojrzał ostatnim wyrazem żyjącej twarzy — i zasnął.

Tymczasem na statku ruch nielada.

To mewy spowodowały. Na gapę lecąc, co chwila spadały na fale za rzuconym kawałkiem chleba i znowu złe na wichry—ciągnęły dalej naprzód.



Bankiet wydany przez gen. Akermana na cześć drużyn zawodniczych, przybyłych do Stokholmu. Na pierwszym planie drużyna polska.

— Ruch... jaki?

— Patrz! patrz! — to ziemia, ziemia...

— Kolumby wstały, wpadły na przód statku i nuż robić ryk, śmiech dlatego, że ziemię zobaczyły...

Wśród Kolumbów gapiących się rozgwar powiększała nadzieja zobaczenia lądu, na którym od roku posiali inne nadzieje. Wszak strzelcy — to wielbiciele nadziei i wiary, to wieczni hazardowcy niezrozumiałej idei. A gdyby im jeszcze dodać posmaku siły zachęty, byliby wielorybami woli i potęgi.

Bo strzelanie z fuzji, karabinu, pistoletu głuche jak huk podmorski, niezrozumiałe, straszne i niepowabne.

A jednak — szlakiem lecących mew biegły te myśli przed nami, z nami i za nami. Statek kołysząc się czasem, nie groził chorobą, lecz pracował w takt myśli tych żywych i tych, co snem — śmierć przypominali.

A potem — bez jęku i przekleństw, bez nadziei i wiary, osowieli, objuczeni, pchani rozkazem urzędników wtaczaliśmy się przez hades celny w żelazne domy na kółkach.

Gdy zaś stanęliśmy w Stokholmie, gdy przyszliśmy na strzelnicę, poczuliśmy w sobie ochotę do życia znowu wśród nadziei.

I zaczęliśmy strzelać...

Żelazny.

Wielcy artyści w... małych „Artystach"





Dawno teatralna Warszawa nie przeżywała tak głębokich i pięknych emocyj artystycznych, jak na słabem skądinąd sztuczydle amerykańskiem p. t. „Artyści" wystawionem przez Teatr Polski w Warszawie. Jakby mszcząc się (szlachetnie!) za nadużywanie w ostatnich czasach eksperymentów reżyserskich, spychających aktora na plan dalszy — Jaracz i Modzelewska dali tak olśniewający koncert gry, że przekonali chyba nawet najzawziętszych fanatyków „gry zespołowej" o tem, że na scenie (obok autora!) ma głos przedewszystkiem wielki talent aktorski.

Jaracz w roli genjalnego klowna wzruszał i przejmował do głębi — był żywem, drgającem bólem, ucieleśnieniem swej głębokiej rozterki wewnętrznej. Idealną jego partnerką była Modzelewska, artystka o niezwykle szerokiej skali talentu. Kunina, Dominiach, Małkowski i reszta wybornie zgranego zespołu. Reżyserja p. Borowskiego jak zwykle inteligentna.

(j. p.)

(Fot. St. Brzozowskiego — po stronie lewej: p. Modzelewska — po prawej Jaracz — w kółku: Zimińska.)





P. Lubodziecki w roli wojewody Sosnowskiego w filmie „Pierwsza miłość Tadeusza Kościuszki" realizacji Piętowskiego



Zofja Batycka, nowokreowana gwiazda filmowa, odtwarza odpowiedzialne role w filmach „Grzeszna miłość" wytw. „Sfinks" oraz „Szlakiem hańby" wytw. „Starfilm".



Harry Cort, młody amant o niezwykle korzystnych warunkach wykonał główną rolę w filmie „9.25" realizacji Lasockiego i Biskiego.



Jerzy Marr i Marja Bogda w morskim filmie „Pod banderą miłości", realizowanym dla „Lux-filmu" przez M. Waszyńskiego.



Efektowna scena z filmu „Grzeszna miłość", realizowanym przez „Sfinks" pg. powieści Andrzeja Struga „Pokolenie Marka Swidy". W rolach głównych Jadwiga Smosarska i Tadeusz Wesołowski.

Nowe filmy... nowi ludzie...

Oddawna już polski przemysł nie doznawał takiej gorączki tworzenia, jak w roku bieżącym. Atelier są zakontraktowane na wszystkie dni tygodnia, aktorzy filmowi opuścili podwoje kawiarni „Italja" i opalają się przy świetle jupiterów.

Z początkiem sezonu kilkanaście filmów produkcji krajowej ujrzymy na ekranach stołecznych i prowincjonalnych. Które z pośród nich okażą się pełnowartościowe, które będą ciekawemi eksperymentami, wreszcie które nie znajdą poklasku u krytyki i publiczności — przewidzieć narazie niepodobna.

Zawczasu można przesądzić powodzenie tych tylko filmów, na których będą widniały nazwiska reżyserów rutynowanych, cieszących się wielkim kredytem moralnym. Nie jest jednak



Antoni Wojdan w filmie „Szlakiem hańby", realizowanym przez wytw. Starfilm" pg. powieści Marczyńskiego. Rolę główną w tym filmie odtwarzają Marja Malicka i Bogusław Samborski.



Irma Gren, po paroletniej pracy w wytwórniach niemieckich powróciła do kraju i gra w kilku filmach polskich.



Jerzy Atan, zdolny aktor charakterystyczny w jednej z głównych ról w filmie „Mascotte" wytw. „Zoro - film"

wykluczone, że młodzi debiutanci zdobędą w tym sezonie ostrogi reżyserskie.

Lato roku bieżącego wyjątkowo sprzyja nakręcaniu filmów. Słońce świeci niczem w Hollywood, nowe talenty filmowe rodzą się niby grzyby po deszczu. (Szkoda tylko, że nie wszystkie grzyby zaliczają się do jadalnych). Z drugiej strony, w związku ze zwycięskim pochodem filmu mówionego zagranicą, liczyć się należy z obniżeniem poziomu artystycznego tych filmów przy wyświetlaniu niemem. Znajdujemy się zatem w okresie konjunktury korzystnej, którą wszyscy starają się wykorzystać skwapliwie.

Szerokie masy publiczności kinowej interesują przedewszystkiem debiuty nowych kandydatów i kandydatki na gwiazdy. Plon tegoroczny połowu gwiazd zapowiada się wyjątkowo obficie. Przytaczamy tutaj szereg podobizn, dotąd przeważnie ogółowi nieznanych. Kto wie, być może już za rok, którąkolwiek z tych podobizn zamieścimy na łamach naszego pisma z tytułem króla lub królowej polskiego ekranu?

Fortuna kinowa kołem się toczy... *i. k.*



Ina Adrjan, łudząco podobna do Grety Garbo, jest niewątpliwie jednym z cennych nabytków polskiej muzy filmowej.



Podczas zdjęć do filmu „Mocny człowiek" pg. powieści Przybyszewskiego dla wytw. „Glorja". Przed pałacem Frascati obok ks. Zdzisława Lubomirskiego stoi reżyser Szaro oraz Chmara, odtwarzający rolę tytułową.

ZA NAJLEPSZY TYTUŁ 1000 ZŁ. NAGRODY



Wydawnictwo „7 DNI" ogłaszając w druku poniższą, najnowszą i specjalnie dla nas napisaną powieść utalentowanego pisarza, p. Stanisława Strumph-Wojtkiewicza, pozostawia P. T. Czytelnikom znalezienie do niej najodpowiedniejszego tytułu i w tym celu ogłasza odpowiedni konkurs z nagrodą 1000 zł. W skład sądu konkursowego wchodzą pp.: Juljan Eysmond, Juljusz German, Wacław Grubiński, Marjan Hemar, Tadeusz Kończyc, Jan Piotrowski, oraz autor tej powieści.

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ROZDZIAŁÓW

Hala Liwska ukończyła pensję. Wypadkowe spotkanie i początek flirtu z Arturem Zaliwskim, otwierają przed nią nowe horyzonty. Hala coraz częściej przebywa w towarzystwie kuzynki Anny, smutnej i nowoczesnej panny. Obie panny odwiedzają dawną koleżankę, Zośkę, która prosto z pensji wyszła za mąż... w półświatek. Po zerwaniu z Zaliwskim rozpoczyna flirt z nowym, młodym człowiekiem, aż wreszcie, zapoznawszy się z kłopotami finansowemi Zaliwskiego, pożycza od ojca większą kwotę pieniężną, by móc go uratować. Wiedziona instynktem Hala postanawia wyjechać i udaje się na wieś do koleżanki Zośki, gdzie pierwszego już wieczoru spotyka Reńskiego. Otrzymuje telegram wzywający ją do Warszawy. Na dworcu dowiaduje się, że Zaliwski został aresztowany i że musi go ratować. Natychmiast udaje się do urzędu śledczego, gdzie spotyka się z Zaliwskim. Ten daje jej cały szereg poleceń do regulowania spraw finansowych, które natychmiast załatwia. Spotyka się z Reńskim, z którym jedzie na obiad do Konstancina. Na drugi dzień spotyka się z Zaliwskim wypuszczonym w międzyczasie z więzienia. Zaliwski prosi o rękę Hali i zostaje przyjęty. Zaczyna się dla Hali okres narzeczeństwa. Po pewnym czasie następuje zerwanie i powrót do Reńskiego, który wreszcie porzuca Halę. Na widowni ukazuje się znów Zaliwski, który po kilku aferach pieniężnych ucieka zagranicę. Wyczytawszy to, papcio dostaje ataku sercowego i umiera. Hala chce sobie odebrać życie. Wreszcie wyjeżdża do Szwajcarji, gdzie spotyka się ze Steyrem. Powracają do kraju. Hala wychodzi za mąż za Steyra.

(29)

O inne kobiety — szczególnie o znajome Steyra — staje się Hala zazdrosna. Jest to rzecz nowa, nadzwyczajna rzecz.

Dawniejsza Hala nic nie wiedziała o największym i najgłupszym — bo często bezprzyczynowym — niepokoju. — Steyrowi wierzy się bez względnie — ale któraś podła — mogłaby go uwieść — rozmyślała Hala i cieszy się z tego, że sama jest coraz piękniejsza. To piękno omotało, omota, Steyra.

Zdarza się jednak — w niektóre niedobre dni, że Steyr nie widzi Halinego piękna i Halinej wielkiej miłości. Patrzy podczas obiadu gdzieś w dal, za okno, na daleki zakręt szosy, prowadzącej w daleką wędrówkę. Po obiedzie szybko całuje rękę Hali i odchodzi do roboty, albo do pewnej, przerażającej Halę pozy. Steyr kładzie wtedy dłonie na biurku i opiera czoło na dłoniach i trwa tak długo, zanim nie nadejdzie nieśmiała i wszystko rozumiejąca żona. Są to złe chwile Steyra, chwile, w których walczy ciężko z uśpioną przeszłością.

— Zapomnisz — zapomnisz — wcałowuje mu szeptem w ucho najsłodsze, najcudniejsze melodje życia — jego różowa, pachnąca teraźniejszość — dałeś słowo? dałeś — swojej małej.

Steyr istotnie dał słowo, jeszcze przed odjazdem na zachód. Słowo Steyra — mocne i święte: — Nie ruszę, jeśli nie zaczepi.

O Reńskim nic — oczywiście się nie mówi i prawie nie myśli, chyba w steyrowych złych, niedobrych chwilach. Hala już umie odpędzać te chwile.

— Mój Steyr — mój — mówi Hala — i sama przestaje być swoją.

Steyr nazywa ją różnie. Hala jest kolejno — w różnych porach, okazjach i czasach — to „różowym noskiem" to znów „jedwabnym porankiem", to „królową pieprzu" (po tamtem nieszczęsnem kupnie), to — aż trudno wysłuchać — jakąś „kupką roskoszy"... Żenujące, ale swoją drogą miłe. Ciekawe, że w życiu i pożyciu, przepojonem roskoszą — niema ani kawałątka grzechu. A może po zamążpójściu traci się sumienie i poczucie grzechu?

Hala czuje jednak wyraźnie, że jest bezgrzeszna. Cała historja polega przecież na tem, żeby nie mieć sobie nic do zarzucenia w stosunku do męża. Być taką — jaką on chce — oto najłatwiejsze i najsłodsze zadanie. Nie mieć przed mężem ani jednej tajemnicy, ani jednej własnej sprawy. Przecież to jest takie proste i łatwe!

Nie było to takie proste i takie łatwe. Hala przekonała się o tem pewnego południa, czytając list, otrzymany od Zośki. List Zośki był długi — i zaraz na wstępie zaniepokoił Halę.

Hala odłożyła na chwilę list i zamyśliła się. Fatalne pierwsze wrażenie — fatalne marzenia o Reńskim jakże zemściły się później — i jak mogły się zemścić jeszcze.

Oto Zośka donosiła o swoim, nareszcie zbliżającym się zamążpójściu, ale zarazem poruszyła sprawy Hali. Zoska pisała:

...Władek był znów na jakiemś kawalerskiem przyjęciu u Reńskiego w Warszawie. I wyobraź sobie, Reński pokazywał wszystkim album z fotografjami swoich adoratorek, czy też coś w tym rodzaju. Władek widział tam i twoją fotografję. Jeśli mu ją nieopatrznie dała, to postaraj się ją wycofać, bo jeszcze dojdzie do twojego męża i ka wersja i gotowe przykrości....

Tak, Hala przypomniała sobie teraz wzruszającą chwilę, w której z biciem serca i radością przyniosła Reńskiemu swoją najładniejszą fotografję. Jak on śmiał — jak śmiał ulokować ją między temi... innemi... między temi... koczkodonami....

Hala nie znalazła gorszego określenia na te inne, z pewnością nieprzyzwoite kobiety, figurujące w albumie.

Jakże powiedzić taką rzecz mężowi? Za nic w świecie! Strułby się znów — a już zaczyna być tak dobrze, bezchmurnie w ich szczęśliwym domku. Niepodobna przecież pokutować wciąż na nowo i wciąż za tę samą, głupią, narwaną i szczerą młodość. Było i poszło sobie...

Należało teraz albo zapomnieć o liście Zośki zupełnie — a zapominanie stało się specjalnością Hali, albo działać osobiście i fotografję odzyskać. Hala odłożyła niemiłe myśli i decyzję na później — ale spokój znikł.

Któregoś z następnych dni wpadła do Steyrów Stefcia — rozwichrzona pięcioklasistka. Obleciała ogród, wraz z Gogusiem, który dekorował teraz mieszkanie Steyrów, zajrzała do wszystkich pokojów, zjadła talerzyk konfitur i trajkotała bez przerwy o swoich sprawach. Już na wychodnem nagle spoważniała.

— Ach — zapomniałabym ci powiedzieć — wiesz kto tu koło was ciągle spaceruje?

— Kto — Stefciu?

— No ten twój stary adorator — Zaliwski — wiesz? Taki jest obszarpany, że trudno go poznać — ale ja zaraz poznałam.

— Zdawało ci się, daj spokój, skądżeby!

— Ależ naprawdę! Ja ci mówię — on się w tobie jeszcze kocha! Napewno! Zupełnie jak w powieści. Uważaj, żeby cię nie porwał!

Stefcia wybiegła, a Hala pozostała z nowym niepokojem. Jakoś przed wieczorem spojrzawszy na okno, dojrzała z drugiej strony ulicy sylwetkę. Może to on.

Lecz teraz w sercu Hali nie było miejsca na niemądrą litość. Dość już nacierpiała się z powodu tego nicponia! Teraz — niby upiór — wracał i stawał przed oczyma — i groził samem swojem istnieniem życiu Hali. Nowe życie jest ważniejsze od losu nieszczęśliwców.

— Kochając — trzeba być egoistką. Będę egoistką!

O Zaliwskim nic nie mówiła mężowi. Ale — że też nie można rozstać się z sobą dawniejszą! Gdyby Steyr był psychologiem, literatem, kobietą — możeby zrozumiał, dlaczego Hala powiedziała mu zamiast zwierzeń — co następuje:

— Wiesz — maleńki — i miło tu i dobrze — ale tak chciałabym wyjechać z tej Warszawy — nie znoszę jej — wyjedźmy, mój drogi!

— To niemożliwe — maleńka.

Hala miała trochę za złe mężowi, że nie zrozumiał i tak krótką odpowiedzią zbył marzenia Hali. Gdzieś daleko od Warszawy, od albumu z fotografjami, od sylwetek męskich, wyczekujących pod latarniami — byłoby tak dobrze i pewnie i zacisznie. Nie znać i nie spotykać nikogo z dawnych znajomych... A tu — jak na złość — złożył wizytę Steyrowi — Aksowicz — stary wielbiciel i znajomy Hali.

— Bardzo wykształcona sztuka — mówił o nim Steyr. — Hala nie podzielała tego zachwytu. Aksowicz — zdaje się — był wtedy w Konstancinie — tego dnia — tego niemądrego dnia.

I o tem Steyr nie dowiedział się — bo jakże tu szarpać kogoś najukochańszego — i poco. Co było — to poszło sobie — i już.

Dnie mijały, i znów był cicho, monotonnie i dobrze.

Atoli po pewnym czasie zdarzył się telefon od Aliny, która bardzo serdecznie przypomniała się Hali i czekała na zaproszenie. Hala rozmawiała z nią chłodno i nie prosiła do siebie. Wyczuwszy chłód Alina zdążyła, akcentując, powiedzieć w czasie rozmowy, że i ona i Molińska i jeszcze ktoś — bardzo się stęsknili i wspominają ją... a jakże też twój szanowny mężulek się czuje — jest bardzo szczęśliwy z tobą — co Halu?— czy nie zazdrosny czasem?...

Coraz bardziej pogrążony w instalowaniu maszyn w nowej fabryce motorów, Steyr nie spostrzegał zdenerwowania i nawet łez Hali, prześladowanej przez niedobre przeczucia. Życie szło najszczęśliwszym trybem i nic złego się nie działo; rosnące zdenerwowanie Hali miało swoją poważną, przez lekarza stwierdzoną przyczynę; rok następny miał stać się rokiem wszelkich, szczęśliwych zmian. Hala z radosnym niepokojem czekała na macierzyństwo.

Zbliżała się zima. Z ogródka trzeba było wykopać pelargonje i przesadzić je do doniczek pokojowych. Hala przyklękała na obnażonej z roślinności ziemi i zawzięcie brudziła paluszki robotą, która przypominała jej ukochany ogród w utraconej Mormolówce. Własny ogród i własne kwiatki, własny mąż i własne gospodarstwo — czegoż więcej wymagać? Całe życie możnaby trwać tak — i niczego pozatem nie pragnąć — prócz dziecka.

— Gdy przesadzę pelargonję, to zapędzę obie, żeby wyczyściły piwnicę na kartofle, a potem pomyją i ustawią okna zimowe, a wieczorem nareszcie skończę haftować obrus — tak mi już obrzydł — a jutro rano zacznę nowy — planowała Hala.

Zajechał samochód, skrzypnęła furtka, męskie kroki szły po żwirze w stronę Hali.

— Niech zobaczy mnie — jak to ja pracuję— myślała Hala. Nagle serce jej zabiło bez powodu — obejrzała się — i szybko uniosła się z klęczek. Przed nią stał nie mąż — lecz uśmiechnięty, uroczy, wytworny pan Ala.

— Jak pan mógł tu przyjść — zawołała z oburzeniem.

— Ładnie mnie Halineczka wita — odrzekł ze smutnym uśmiechem.

Obejrzała się, zbita z tropu. Nikogo wokoło na szczęście — czy nieszczęście — nie było. Postawiła swoje doniczki i skierowała się milcząc do domu.

Zastąpił jej drogę.

— Parę słów — rzekł.

— Nic panu nie powiem, krzyknęła — proszę mi oddać moją fotografję! Pan jest nikczemny — i nie chcę pana widzieć —

Odrzekł całkiem spokojnie.

— Fotografja — oto jest. Właśnie ją przywiozłem — dowiedziałem się od pana Sokołowskiego, że pani nie życzy sobie, abym ją zatrzymał u siebie dłużej. Zabrałem ją na wszelki wypadek — nie wiedziałem, że zobaczę panią. Pozatem — pragnąłem rozmówić się z pani mężem.

— To — to — jest niemożliwe — powiedziała przerażona.

— Muszę, proszę pani — sprawa tyczy się kogoś bliskiego. Zresztą — dlaczego nie mógłbym —

— Bo to niemożliwe —

Spoważniał nagle.

— Czyżby pani nie była dość dyskretną? —

Podniosła oczy — już śmiałe i pewne siebie.

— A jakże pan myślał? Że co — że będę oszukiwała — kryła się — wykrzykiwała —

Pomilczał chwilę.

— Nie należało mówić! To nieprzyjęte — ale — w takim razie — no — nie mogę z nim rozmawiać. To oczywiste. Trudno. Napiszę — w takim razie. —

Chciał odejść i skłonił się. Był piękny — jak dawniej. Osobliwa to chwila — przymknąć oczy i zatonąć w dawnych, pamiętnych wzruszeniach. Otrząsnęła to z siebie.

— Proszę zaczekać — skoro pan tu jest. Rozmyślałam o panu bardzo wiele. Jestem dziś inna, starsza i mądrzejsza.

Uśmiechnął się potwierdzająco. Niewiadomo dlaczego, oburzył ją ten uśmiech.

— Śmieje się pan — wiecznie śmieje — z życia, obowiązków, cudzych serc... To jest podłe — tak podłe. Myślałam o tem wszystkiem i przyszłam do przekonania, że pan jest bezmyślną, bezwartościową kreaturą.

— Którą uwielbiała panią i uwielbiać będzie do końca życia — gładko zakończył.

Wybuchnęła niekłamanym oburzeniem.

— I Alinę też? I Molińską? I Annę — słyszy pan i Annę Steyr także — och cóż za kłamstwo —

Roześmiała się poraz pierwszy w życiu złym, drwiącym śmiechem.

Reński pobladł.

— To ciekawe — że pani ma tak dokładne informacje — ale zaręczam pani — że mylne —

— Och — panie — odchodzę już. Nie mieć odwagi do przyznania się do własnych podłości — to — to — jest —

Reński schwycił jej rękę.

— Nie — proszę zostać! Skoro tak — dobrze — pomówimy! Cóż pani może wiedzieć o mnie? Lekkomyślny, pusty, żyjący chwilą i przelotną miłostką? A wie pani — skąd to jest? A wie pani — ile przeszedłem — byłem wtedy młody - bardzo młody — żeby rychło dojść do pobłażliwego uśmiechu i zabijać każdą poważniejszą, każdą tragiczną myśl — rozrywką — pustą zabawą? Zło nie zjawia się samo przez się! Zło przyszło do mnie! Kiedyś rozpoczął się łańcuch zła i jednem z ogniw tego łańcucha i ja się stałem. W cierpieniu i ogniu kuto zemnie okrągło, poprawną formę. Z kolei pchnąłem zło dalej. Czyniłem źle i siałem cierpienie. Myślałem — że mam prawo— że skoro ja — skoro mnie tak boleśnie skrzywdzono — to niech i inni —

— Któż pana skrzywdził? — spytała Hala, ogarnięta palącą ciekawością.

— Moja żona — umarła — rzekł Reński — i mogę to dziś pani powiedzieć — w największem zaufaniu — mój syn — mój syn —

Urwał wzruszony.

— Powiem pani inaczej. Czy pani dawno widziała Annę?

— W zeszłym roku — w Szwajcarji —

— I tego — małego —

— Tak — Jasia — ożywiła się — To śliczny chłopiec i...

Spojrzała na pana Alę mimowolnie dawnem, dobrem spojrzeniem.

— Właśnie — pani Halu — więc ten właśnie chłopiec jest jedynym moim synem —

Hala zrozumiała i zwiesiła głowę.

— W takim razie — w takim razie — żal mi pana — ale jakże pan mógł — jakże pan śmiał uwodzić takie młode, niedoświadczone stworzenia. —

Wyprostowała się.

— Powinien pan teraz wszystko naprawić!

Machnął ręką beznadziejnie.

— W jaki sposób? — Chciałem pomówić z pani mężem o tem. Napiszę zresztą. Teraz proszę mi tylko powiedzieć — że pani wybacza mi — proszę — błagam o to — i proszę nie zapominać o mnie. —

Podała mu rękę — pełna wzruszenia. Z oczu popłynęły dobre, szczęśliwe łzy. — Niech panu będzie lepiej i niech pan będzie już inny — i niech pan nie pokazuje się — tutaj —

Podniósłszy głowę, ujrzała męża, który stał, oparty o sztachety. Paląc papierosa, obserwował uważnie Reńskiego. —

XXI.

Okrutna, beznadziejna przeszłość powróciła— i nie ma na to rady. Wszystko jest przeznaczone zgóry. Choćby się wypłakało oczy, wyklęczało kolana, wymodliło całą długą, okropną jesienną noc — sprawy toczyć się muszą swoją, utartą przez życiowy konwenans koleją.

Hala czuje, że jest to bez sensu, że w gruncie rzeczy nic nie zawiniła, że — jeśli nawet zawiniła — to Bóg jej wszystko przebaczył; że powinna nareszcie mieć szczęście i spokój — tak zasłużone cierpieniem i męką serca. Powinien być także szczęśliwy i Steyr — chyba najlepszy z mężczyzn, wyszlachetniony pracą, miłością i zadawnionym bólem zranionego, braterskiego serca. Komuż — pak im dwojgu — potrzebniejsza jest zatoka słodkiej miłości — przystań niezłomnych uczuć przyjaźni? A Zaliwski? A Reński? A Anna Steyr? Zaliwski niech zacznie nowe, uczciwe życie; Reński — ach on już napewno jest zupełnie przemieniony — odkąd umarła jego żona, w której Hala zawsze przeczuwała kobietę złą. Reński powinien rzucić życie hulaszcze i bogate, nie korzystać z cudzych bogactw i oddać się trosce o przebłaganie Anny i małego, opuszczonego Jasia. Więc i Anna Steyr powinna być szczęśliwa — i Jaś — i wszyscy — jeśliby tylko zechcieli rozumnie i serdecznie — tak, jak Hala potrafi — pomyśleć i rozważyć wiele spraw: pobłażliwie, z miłością dla najbliższych, z poddaniem się życiu, które łowi i pęta ludzi w swą sieć.

(Dok. nastąpi).

Niecodzienne staruszki



Mme Cornez, paryżanka, w wieku 85 lat, obchodząc swoje brylantowe gody, urządziła sobie wycieczkę samolotem. (Photo - Piat)



Pani H. C. Wright z Texas ukończywszy 80 rok życia odkryła nagle w sobie talent śpiewaczy i obecnie daje własne koncerty cieszące się ogromnem powodzeniem. (Photo - Piat)



Ethel Smith „bojowa" sufrażystka angielska, wystąpiła jako dyrygentka własnego koncertu w Berlinie. P. Smith cieszy się obecnie 70-tą „wiosną" życia. (Atlantic)

Od Stradivarjusa do Gallicane'a

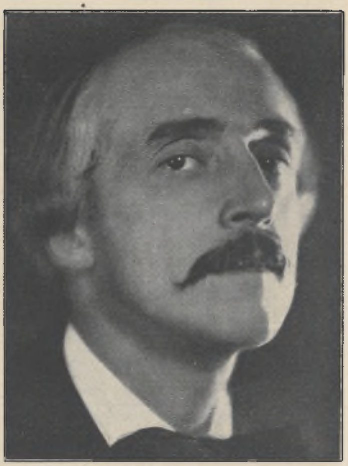
W roku 1923 wszystkie dzienniki świata podały sensacyjną wiadomość o odkryciu manuskryptu z roku 1716, zawierającego receptę t. zw. laku kremońskiego włoskich mistrzów - lutników; jak Stradivarjusa, Guarneriusa, Guadagniniego, Amatiego i t. d.

Zdobycz ta jest zasługą pewnego francuskiego inżyniera, p. Luc Gallicane, będącego jednocześnie artystą skrzypkiem.

W sekrecie przed światem, cicho i bez sławy, pracował w swojem laboratorjum od 1910 r. nad rozwinięciem i odczytaniem manuskryptu, który w tymże roku odkrył w pewnej bibljotece w Rzymie. Dokument ten zawierał receptę sławnego laku kremońskiego, zaginionego, ku wielkiej rozpaczy artystów, od przeszło 150 lat wraz ze sposobem rozpuszczania bursztynu i twardej drzewnej żywicy. Procederu tego — nawiasem mówiąc — chemja nowoczesna zupełnie nie znała.

Sposób ten był również stosowany w malarstwie. Wiemy bowiem, iż artyści średniowiecznej szkoły flamandzkiej posługiwali się drzewną żywicą nietylko aby obrazy swoje pokryć przezroczystym pokostem, ale i do rozrabiania farb, które sami przygotowywali.

Słynny „tajny proceder" Van Eyck'a, który we Flandrji miał zastosowanie w ciągu 150 lat (do Rubensa) i nawet do końca 17 wieku, (Ter Borch, Meetsu, Mieris, Steen i t. d.) przeniesiony został do Włoch przez wielkiego mistrza Antonello da Messina.



Luc Gallicane.

Średniowieczni malarze, podzielili się w połowie XVI wieku sekretem laku z włoskimi lutnikami celem stworzenia „laku kremońskiego" i zastosowania tegoż w lutnictwie.

Po zbadaniu rewelacyjnego manuskryptu, p. Gallicanne skonstruował skrzypce, które wzbudziły podziw świata artystycznego i które odrazu, bez patyny starości, mogą rywalizować z instrumentami włoskiej szkoły.

W ciągu kilku miesięcy p. Gallicane zorganizował wystawę instrumentów swego wyrobu w Paryżu, szerząc podziw w świecie artystycznym, a postrach wśród kolekcjonerów, którzy zrozumieli, że instrumenty Gallicane'a obniżą fantastyczne ceny starych włoskich instrumentów (skrzypce Stradiwarjusa zostały sprzedane w New Yorku w 1927 r. za 1.500.000 fr.).

Wskutek szeregu intryg, któremi wnet oplociono wynalazcę, p. Gallicane apelował o interwencję u prezydenta Poincare'go.

Z szalonym wysiłkiem energji i olbrzymiemi kosztami p. Gallicane przyjął udział w wystawie międzynarodowej muzyki w Genewie, na której w konkursie instrumentów smyczkowych uzyskał należne mu pierwsze miejsce.

W 1926 r., na konkursie siły dźwiękowej instrumentów, odbytym w Paryżu, Gallicane zdobył I miejsce większością 400 głosów (na 410 głosujących) przed staremi skrzypcami Guadagniniego.

Ogłoszona w 1924 r. naukowa praca p. Galicane'a p. t. „Lak kremoński" i „Prawa akustyki mistrzów kremońskich" głośnem echem odbiły się w świecie muzycznym, a lutnik otrzymał szereg propozycyj, które jednak odrzuca, pragnąc pozostać w cieniu i pracować nad udoskonaleniem swojego wynalazku.

Pomimo tych wszystkich sukcesów p. Galicane nie zrobił na swojem odkryciu majątku.

Stwierdził to między innymi nasz korespondent paryski podczas wizyty, którą złożył p. Galicane'owi, odnosząc wrażenie, że niema nic na tej ziemi, coby Galicane'a wiązało z dzisiejszym światem a tembardziej z myślą o majątku. Obdarowany niepowszednim rozumem i posiadając wielką erudycję, woli się oddawać poza pracami lutniczemi głębokim zagadnieniom filozoficznym. Dodamy na zakończenie, że Gallicane jest uczniem i przyjacielem d-ra Rudolfa Steinera i oddał nauce w dziedzinie teozofji wielkie usługi.

L. S.

SIEDEM DNI NASZEGO CZYTELNIKA

KALENDARZYK TYGODNIOWY

25 N Ludwika
26 P NMP. Jasnogórsk.
27 W Kazimierza
28 Ś Augustyna
29 C Sc. gł. św. Jana
30 P Róży
31 S Rajmunda

HISTORYCZNY HISTORYCZNY

29 sierpnia 1526 — bitwa pod Mohaczem i śmierć Ludwika II Jagiellończyka, króla Węgier.

31 sierpnia 1579 — Stefan Batory zdobywa Połock.

GŁODOMOR NA P.W.W.

W dniu 11 b. m. w Teatrzyku na „Wesołem Miasteczku" na terenach zachodnich P.W.K. rozpoczął swój pokaz fakir-głodomór, co stanowi wielką atrakcję dla zwiedzających.

Głodomór znajduje się pod ścisłą kontrolą funkcjonarjuszów publicznych, notarjusza i lekarza i podlega codziennem badaniom lekarskiem, co odbywa się bez otwierania szafy szklanej. Bilet[y]n lekarski jest wywieszony do publicznego wglądu.

OGÓLNO-KRAJOWY KONKURS TANECZNY W PAŁACU DANCINGOWYM NA P.W.K.

W dniach 29, 30, 31 sierpnia oraz 1 i 2 września w Pałacu Dancingowym na P.W.K. („Wesołe Miasteczko") odbędzie się ogólno-krajowy konkurs taneczny, na program którego złożą się tańce narodowe i nowoczesne, konkurs wyboru królowej, konkurs na wytrzymałość i bal wydany na cześć nagrodzonych. Komitet organizujący imprezę dla zwycięzców konkursu ufundował 30 nagród, ogólnej wartości 10 tysięcy złotych. Nagrody te oglądać będzie można w portalu wystawowym firmy Nowakowski i Synowie, ul. 27 Grudnia, narożnik ul. Kantaka. Bliższe szczegóły konkursu podamy później.

TEATR

NARODOWY

Dn. 22 b. m. „Grube Ryby", Bałuckiego.

Dn. 23 b. m. do dn. 28 b. m. „Wiosna Narodu w Cichym Zakątku", Adolfa Nowaczyńskiego.

LETNI

Dn. 22 b. m. „Niewierna", Roberta Bracco.

Dn. 23 b. m. do 28 b. m. „Proces Mary Dugan.

POLSKI

„Artyści".

MAŁY

„Para nie para"

MORSKIE OKO

Rewja w 20 obrazach p. t. „Zabawki dla Warszawski".

QUI PRO QUO

Rewja krakowskiego teatru — rewji „Gong".

RADIO - OGRÓD PHILIPSA

Codziennie prócz poniedziałków koncert i dancing od 17 do 22 godz.

KINO

Apollo: „Salambo".
Capitol: „Grzesznica z Montparnasse".
Colosseum: „Grzech Ingi".
Filharmonja: „Damski pieszczoszek" i „Kapitan Hazard".
Hollywood: „Jad pokusy miłosnej".
Palace: „Według litery prawa".
Quo Vadis: „Koenigsmark".

Kongres reklamy



Pomysłowy sposób reklamy rosyjskiej sztuki na ulicach Berlina. Na pierwszy rzut oka przechodnie myślą, że policja otrzymała uniformy rosyjskiego „mużyka". (Wide World).



Na sali obrad międzynarodowego kongresu reklamy w Berlinie zwracała powszechną uwagę pilna słuchaczka w stroju duńskim, którą okazała się lalka wysłana przez duński dziennik „Politiken". Może ona sama chodzić i reklamować swoich chlebodawców. (Wide World).



Mr. André Kaminker, przedstawiciel Francji na międzynarodowym kongresie reklamy w Berlinie, ogląda słupy ogłoszeniowe ustawione na ulicach. (Wide World).



Któż z nas oprze się tej małej kobietce namawiającej na kupno aparatu fotograficznego swojej marki. (Atlantic).



Oryginalna reklama składu ryb, wyobrażająca w dowcipny sposób wołu i świnię, których mięso jest mniej pożywne od mięsa karpia

„7 DNI" wychodzi co czwartek w Warszawie — Krakowie — Poznaniu — Lwowie i Wilnie
Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50; roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2.
Tel. 525-85 i 72-85. Konto P. K. O. 19.447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Słodowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy.
Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż 2 szpalty — jako 3 szpaltowe.
Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji: w poniedziałki, środy i czwartki od godz. 10 do 12-ej, we wtorki i piątki od godz. 18 do 19-ej. (Oprócz dni świątecznych).

Redaktor naczelny: JAN PIOTROWSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka Sp. z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 172-22 i 117-98.